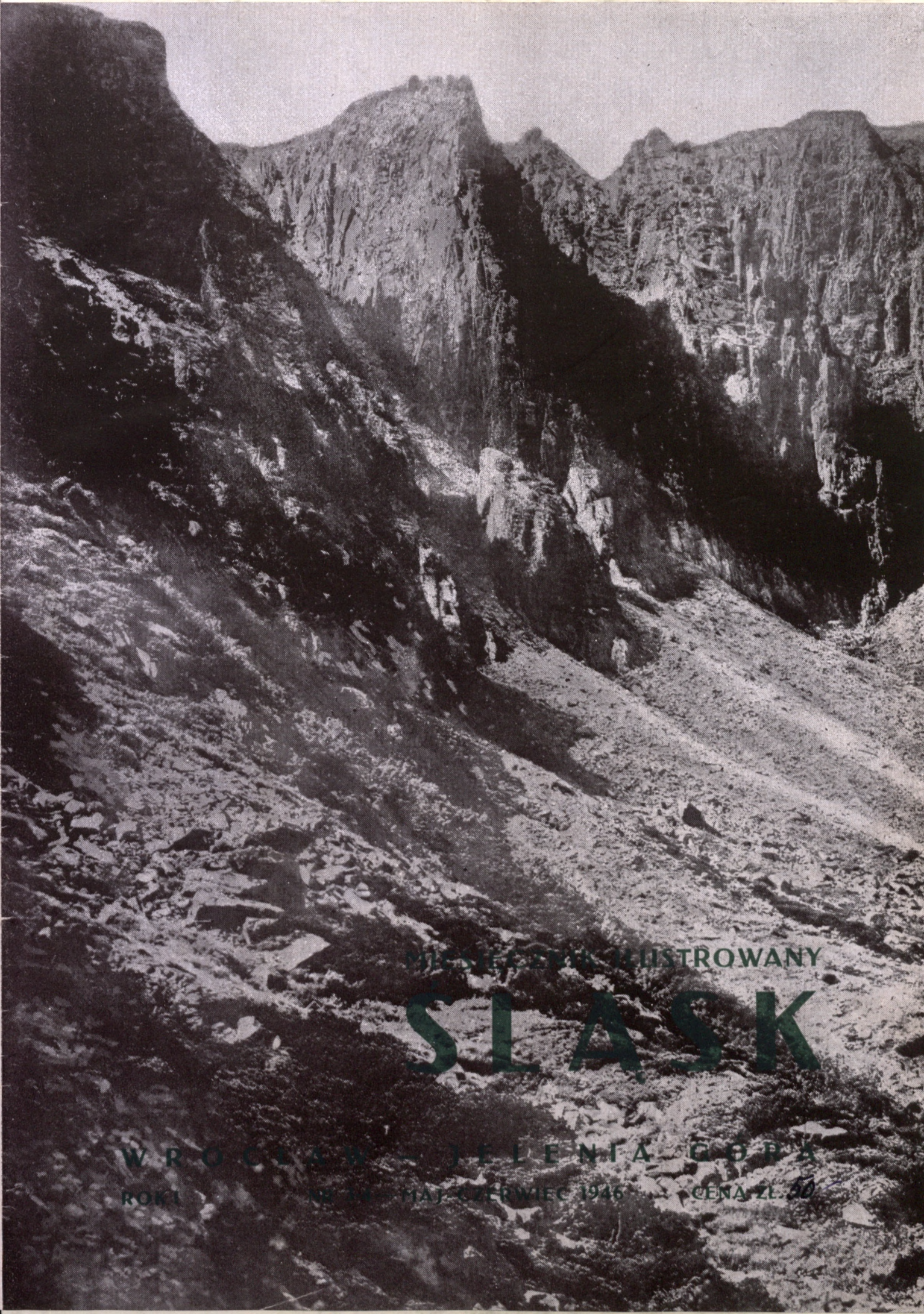




MIĘSIĄCNIK ILUSTROWANY

ŚLĄSK

WROCŁAW — JELENIA GÓRA

ROK I

NR 11 — MAJ — CZERWIEC 1946

CENA ZŁ. 50

Redakcja

miesięcznika ilustrowanego „Śląsk”

wita Gości

„Dni Kultury Polskiej na Ziemiach Zachodnich”

we Wrocławiu

Treść numeru: 9 maja — 9 czerwca we Wrocławiu; Dzień 10—11 maja we Wrocławiu: — Stanisława Kulczyńskiego; Wertując stare książki i mapy ... — Bolesława Olszewicza; Śladami języka polskiego, cz. I i II. — Witolda Taszyckiego; Z cyklu: Spotkania wrocławskie — Tadeusza Mikulskiego; Troski Wrocławia — Macieja Łecha; O polskiej myśli historycznej i historykach polskich na Śląsku — Karola Maleczyńskiego; Bezcenna ojczysta księga Śląska — Stanisława Rosponda; Czeskie parcie na Północ — Karola Stojanowskiego; Postacie śląskie: Biskup Nankier — Andrzeja Jochelsona; Dzień 8 maja 1946 r.; Kronika wrocławska i jeleniogórska.

Ilustracja stronicy tytułowej przedstawia Jamy Śnieżne w Karkonoszach.
Stronica czwarta okładki — Łądek: Rynek.

Fot. J. Mańkowski.

9 maja – 9 czerwca we Wrocławiu

Gdy na zachodzie i wschodzie Europy umilkły już w roku 1945 działa, gdy padł Berlin, gdy gasły pożary osiedli, terenów właściwych Rzeszy lub zagrabionych — Wrocław osiągał właśnie szczyt swej ruiny i zniszczenia. Oblężone wojska niemieckie, oraz ich, ziejące nienawiścią do wszystkiego co polskie, dowództwo postanowiło raczej zniszczyć miasto, niż oddać nieuszkodzone w ręce polskie. Nie miano bowiem najmniejszej wątpliwości, że przyszedł wielki rozrachunek dziejowy, że zagrabione przez Fryderyka II ziemie muszą wrócić do Polski. Nie tak dawno przecież przed upadkiem Hitlera, arcybiskup wrocławski, kardynał Bertram, w poufnej rozmowie wyraził się niedwuznacznie, iż szykuje się „do roli metropolity polskiego.” To też wojsko niemieckie, na rozkaz, poczęło niszczyć miasto i zniszczyłoby doszczętnie, jak Warszawę, gdyby nie kapitulacja przed zwycięską Armią Czerwoną.

Dzisiaj z dawnego Wrocławia pozostało zaledwie 35% licząc w to i przedmieścia. Ale nie kamienie i nagromadzone bogactwa są najważniejsze. W rocznicę odzyskania dla Polski ziemi dolnośląskiej, zarówno cała Polska, jak i cały świat stawiają jedno tylko pytanie: „czy rok ubiegły nie został zmarnowany? czy wykazano światu, że i bez niemieckich przybyśców życie społeczne, gospodarcze, kulturalne na Śląsku istnieje nadal, czy też powstała tu pustka — po wysiedleniu Niemców?”

Wyniki pobytu naszego od maja ub. roku na ziemiach dolnośląskich są najświetniejszą odpowiedzią na to pytanie. Pustka nie istnieje! Polacy są wszędzie, Polacy napływają nadal tak, iż niektóre powiaty będą miały więcej ludności niż przed wojną! Życie gospodarcze wre, dymią fabryki, huty i kopalnie; na roli osiada chłop polski, repatriant z za Bugu i pracuje z szczerego serca. Zorganizowana administracja, samorządy, komunikacja, szkolnictwo, pocztę, aprowizacja, opieka społeczna, odbudowa ...

Ale i nie to jest najważniejsze. Bo oto spod pyłu ocalałych archiwów, z fragmentów nie zburzonych murów, z wilgotnych kart ukrywanych foliatów wyłania się dławiona przez Niemców i wypaczana polskość dolnośląska.

Kamienie wołają! Nieme dokumenty mówią, a znaczne rzesze zniemczonych Polaków budzą się do polskiego życia. Od wieków, świadomie i perfidnie, nauka i sztuka niemiecka starały się wmawiać zarówno swoim, jak i obcym, o germańskości Śląska. Spychano niejako zainteresowania nauki polskiej na wschód, a na dzieje i kulturę śląską uczono patrzeć przez niemieckie okulary i traktować jako część całości niemieckiej. Dzisiaj to się zmieniło! Dziś nauka i sztuka polska wracają na ziemię śląskie i bez trudu mogą nawiązać do dawnej, polskiej, rodzimej przeszłości, bowiem żadna propaganda, ani wysiłek niemiecki nie mogą obalić faktów, że:

1. w czasach, gdy nie istniało jeszcze państwo pruskie, Śląsk był dzielnicą czysto polską, i to jedną z najważniejszych;
2. najwcześniejsze wiadomości źródłowe historii Polski mówią o ziemi śląskiej;
3. pierwsze zdanie w języku polskim na piśmie utrwalone (nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce), zostało napisane w w. XIII w Henrykowie pod Wrocławiem;
4. pierwszy druk polski powstał w r. 1475 we Wrocławiu;
5. nie było takiego dnia, ani takiej godziny, w której lud polski na Śląsku zaprzestałby mówić lub modlić się po polsku i nie było takiego okresu w historii, w którym rządy zaborców Śląska nie liczyły się bądź z koniecznością oddania Śląska Polsce (XV — XVII w.), bądź z obawą zbyt silnej jego repolonizacji (XVIII — XX w.).

Dlatego z radością witając pierwszą rocznicę powrotu ziem śląskich do Polski, która bez nich nie jest Polską całkowitą, doceniając materialne, organizacyjno - gospodarcze zdobycze pierwszego roku, jako egzaminu wobec świata z naszej zaradności i dojrzałości politycznej i życiowej — musimy z nie mniejszą radością powitać Zjazd Kultury Polskiej we Wrocławiu.

Celem Zjazdu jest nawiązanie do wspólnych tradycji kulturalnych polskich, jest z dokumentowanie ostateczne, iż ziemia śląska nie tylko była, ale i jest polska, że od roku ubieg-

tego nie tylko władza się zmieniła, ale i duch i treść istotna rzeczy.

Uroczyste otwarcie Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, połączone ze Zjazdem zamyka niejako okres pionierski, a rozpoczyna okres nowy: pracy pokojowej, normalnej i wkładu śląskiego do ogólnej kultury polskiej.

I może, dzięki nieuchwytnym filiacjom przeszłości, praca kulturalna dolnośląska stworzy, jak przed wiekami, ponownie pierwsze warlości kulturalne nowego polskiego życia i powie nowe pierwsze słowo

wo myśli, lub piękna polskiego dla całej odrodzonej ojczyzny.

Oby Zjazd Kultury Polskiej we Wrocławiu dał potrzebne ku temu impulsy i, oby, echa jego dotarły kędy należy. Niechże będzie najwłaściwszą odpowiedzią Narodu Polskiego na ostatni akt „kultury” niemieckiej nad Odrą rok temu. Wrocław okaleczony, ale dźwigający się do życia i cały Śląsk Dolny witają Zjazd Kultury Polskiej całym sercem.

Redakcja.

Dzień 10–11 maja we Wrocławiu / Stanisław Kuleżyński rektor Uniwersytetu i Politechniki

Była godzina 11 rano, gdy wjechaliśmy do miasta od strony przedmieścia Hardain. Nie byliśmy pierwsi. Kilkanaście godzin przed nami, dnia 9 maja 1945 r. dotarło do Wrocławia trzech ludzi z grupy uniwersyteckiej z Dren Antonim Knotem na czele. Najbliższym zadaniem naszym było odszukać ich w milionowym mieście. Wybór miejsca wjazdu okazał się niezbyt szczęśliwy. Drogę zamknęły nam barykady, zwalone ruiny na jezdniach i pożary.

Wysiadamy z auta. Wysyłamy na trzy strony świata pikiety dla zbadania przejść, sami zaś rozglądamy się po pustych ulicach. Cudowna pogoda dnia wiosennego osobliwie kontrastuje z obrazem widocznym dookoła. Wszędzie zniszczenie, martwa cisza i pustka. Gdzieś tam tylko uwijają się grupki plądrujących żołnierzy. Po chwili wracają nasze zwiadowcze pikiety z raportem, że o wjeździe do miasta autem nie może być mowy. Jeden tylko patrol każe na siebie czekać długo. Dopiero koło godziny trzeciej popołudniu zjawia się na drugim końcu miasta. Przejazd jest, ale należy się spieszyć, bo pożar i osypujące się ściany kamienic mogą każdej chwili zatrasować drogę. Ruszamy naprzód i niebawem wjeżdżamy w wąską szyję uliczki płonącej z obu stron. Padają niespokojne pytania: „Czy opony wytrzymają zetknięcie z leżącym na ulicy rozpalonym gruzem?”. „Czy auto nie utknie w pierwszej rozpadlinie wyoranej w jezdni, czy nie zmusi nas jakaś nieprzewidziana przeszkoda do opuszczenia wozu i pozostawienia go na pastwę płomieni?”. Kierowca nasz prowadzony przez biegnących przodem pilotów bierze jednak szczęśliwie przeszkody i wydostaje się w okolice głównego dworca, gdzie otwierają się już swobodniejsze warunki ruchu. Przecinamy z kolei wąskie ulice starego miasta, mijamy most na Odrze i wydostajemy się na plac św. Mateusza, gdzie odnajdujemy czekających od wczoraj kolegów. Kwatery są przygotowane w jednej z niewielu całych na oko kamienic. Za kilka dni zaleje nas w tych kwaterach woda przeciekająca od piątego piętra do parteru, ale w tej chwili nikomu nie przychodzi na myśl stwierdzać, czy kamienica posiada dach. Umieszczamy się po czterech w jednym pokoju i po krótkim posiłku ruszamy pieszo na miasto. Kroki nasze kierują się w stronę głównego gmachu Uniwersy-

tetu nad Odrą i w stronę Kępy Piaskowej, gdzie stoi biblioteka uniwersytecka. Pierwszy napotkany budynek uniwersytecki mieszczący zakłady geologii i mineralogii leży w gruzach. Ostał się tylko fragment wschodniego skrzydła, w którym przez wywalone bramy, drzwi i okna widać zasypane gruzem resztki zbiorów geologicznych. Okno sterczy szkielet budynku chemii zburzony i spalony do pierwszego piętra. W parterze zawałonym opadłymi stropami widać zgniecione stoły chemiczne, resztki przyrządów i szkliwa. Docieramy do głównego gmachu. Wspaniały budynek barokowy rozcięty uderzeniem bomby na dwoje. Ocalałe skrzydła spoglądają na nas szeregiem ogromnych czarnych otworów, ze szczątkami futryn i ram okiennych. Ruinę pokrywa korona cierniowa zwichrzonych i częściowo zwęglonych belek olbrzymiego rusztowania dachowego. Dostęp do gmachu zamyka barykada z książek zamokłych i zaatakowanych pleśnią. Przez rozgrodzoną bramę wchodzimy do klatki schodowej i pniemy się na pierwsze piętro. Stąpamy ostrożnie spoglądając w górę, gdzie splecione sklepienia budzą niepokój, i pod nogi, gdzie wyglądające z pod gruzu pięści pancerne i ukryte wśród śmiecia granaty ręczne nakazują przezorność. Wchodzimy do wspaniałej barokowej auli zastanej bronią i mundurami wojskowymi. Na połamanych ławach leżą zdruzgotane ogromne okna wywalone z futryn. Piękna polichromia ścian i stropu świeci ogromnymi białymi plamami opadłego tynku. W głębi, zza fotela rektorskiego obitego czerwonym aksamitem spogląda na salę brązowy posąg Fryderyka Wilhelma, założyciela Uniwersytetu, ubrany w cylinder kominiarza.

Opuszczamy gmach główny i kierujemy się do sąsiedniego Domu Steffensa mieszczącego semina-ria filozoficzne. Budynek pozbawiony dachu. Attyka leży obalona i zdruzgotana na jezdni. Okna wraz z pięknymi żelaznymi kratami wyrwane przez podmuch. Stropy przebite pociskami na wylot. W parterze i piwnicach budynku gnieździ się szpital wojskowy niemiecki. Na drugim piętrze odnajdujemy zrzucone beładnie kości dyluwialnych zwierząt i stos czaszek ludzkich — resztki zbiorów wyniesionych tutaj czyjąś ręką z rozbitych budynków geologii i antropologii. Idziemy dalej ku budynkowi seminariów humanistycznych. Gmach zastajemy



wprawdzie bez okien i z uszkodzonym dachem, ale cały. Wewnątrz kwatruje wojsko radzieckie, które odmawia nam prawa wstępu bez przepustki z komendy twierdzy. Ponieważ celem naszym jest ogólna orientacja w sytuacji, rezygnujemy z pertraktacji z oficerem i udajemy się na Kępę Piaskową. Gmach Instytutu Wschodniego stoi, ale wewnątrz ani śladu księgozbiorów. W sąsiednim olbrzymim gmachu biblioteki Uniwersyteckiej huczy pożar. Płoną potężne drewniane belkowania wspierające sklepienia parteru. O wejściu na piętra trudno marzyć. Kierujemy się więc do piwnic i odnajdujemy tutaj splądrowaną kwaterę główną niemieckiej komendy miasta. Tuż koło płonącego gmachu biblioteki po przeciwnej stronie wąskiej jezdni w ruinach mensy studenckiej i kościoła św. Anny znajdujemy pierwszy skarb. W stosach wysokich na dwa metry leży około 300 000 tomów. Rozpoznajemy w nich książki biblioteki uniwersyteckiej przeniesione tutaj w czasie oblężenia. Ogarnia nas niepokój o los tego księgozbioru. O ruszeniu go z miejsca nie ma mowy: 200 ludzi przenosiło go przez tydzień z budynku biblioteki na przeciwną stronę jezdni, aby złożyć go w nawie kościoła św. Anny. Powracamy więc do gmachu biblioteki, aby przynajmniej ocenić niebezpieczeństwo. Wchodzimy w pełne czarnego dymu płonące korytarze parteru. Stwierdzamy, że belkowania wspierające stropy podpalone widocznie dwa dni temu, wypalone są od strony ulicy doszczętnie, a w głębi korytarza ogień dogorywa.

Uniwersytet Wrocławski — widok od strony Odry.

Imponująco grube mury i sklepienia budynku nie przedstawiają niebezpieczeństwa runięcia i rozrzużenia ognia. Wewnątrz gmachu zbudowanego z cegły i żelaza nie widać żadnych materiałów, które by mogły podsyćć dogorywający ogień. Oględziny te uspokajają nas co do niebezpieczeństwa grożącego sąsiednim księgozbiorem od strony pożaru. Większy niepokój budzą wszędzie plądrujący żołnierze.

Idziemy dalej. Na miejscu seminariów filologii nowożytnej instytutu antropologii i seminariów matematycznych zastajemy szare, dawno wystygłe zgliszcza. Z wielkiego czerwonego gmachu fizyki zostały tylko kulisy wypalonych murów. Jedyne w piwnicach budynku napotykamy na baterie akumulatorów, kilka motorów elektrycznych i trochę narzędzi warsztatowych. Wkraczamy na teren ogrodu botanicznego. Na wstępie spalony budynek dydaktyki. W zasypanym gruzem korytarzu potykam się o wystający kawałek metalu. Rozpoznaję w nim stopiony tubus mikroskopu Zeissa. Z pod białego i zimnego popiołu wystaje kilkanaście czubków metalowych podobnego rodzaju. Są to ustawione czyjąś dłonią na podłodze precyzyjne mikroskopy — wszystkie w podobnym stanie. Rzucam okiem na ogród. Szklarnie rozbite, pełne wymarznętej i wyschniętej kompletnie roślinności.

Podchodzimy do gmachu instytutów botanicznych. Czuję lekki ucisk koło serca, gdyż ma to być mój przyszły warsztat pracy naukowej, który ma zastąpić utracony zakład we Lwowie. Budynek wydaje się cały. Niestety jest to złudzenie. Tył gmachu uderzony bombą i zwalony. Sklepienia pozostałej części spękane wykluczają myśl o remoncie. Niemniej budynek zawiera resztki cennych zbiorów naukowych, które trzeba będzie z ruiny wynieść. W piwnicach budynku mieszka wdowa po profesorze Winklerze, która wskazuje nam zamaskowany schron, gdzie zniesiono część cenniejszych książek i aparatury. Zielniki wywieziono na prowincję w kilka punktów Śląska. Spisujemy te informacje i udajemy się w stronę muzeum zoologicznego. Nowoczesny budynek instytutu rozwalony uderzeniem bomby leży w $\frac{1}{3}$ w gruzach. Przeciwległe skrzydło spalone. W parterze środkowej części budynku umieszczono magazyn żywności strzeżony przez żołnierza sowieckiego, który nie chce słyszeć o wpuszczeniu nas do wnętrza. Poprzestajemy na obejrzeniu budynku od zewnątrz i na stwierdzeniu poprzez wywalone okna, że na wyższych piętrach ocalały bogate na oko zbiory osteologiczne.

Zbliżający się wieczór każe nam wracać do domu. Na kwaterze zastaję grupę moich towarzyszy, którzy powrócili z podobnych wypraw w głąb miasta i wysłuchuję sprawozdań. Niestety nie brzmią one pomyślnie. Pułkownik Ciałowicz raportuje, że



wszystkie muzea miejskie leżą w gruzach. Do uratowania jest tylko część zbiorów prehistorycznych. Raport z placu Augusty donosi, że wszystkie budynki zakładów etnologii, historii sztuki i archeologii leżą w zgliszczach. Fundowany przez Rockefellera instytut neurochirurgii zniszczony doszczętnie. Jedyną wieść pomyślną przynosi Dr. Knot: biblioteka miejska ocalała, księgozbiory w nieładzie, częściowo nawet wyrzucone przez podmuch na ulicę, ale na miejscu. W bibliotece zostawiono Dr. Gostomską i Mgr Koftę dla strzeżenia budynku i zbiorów. Na stwierdzenie stanu klinik, Politechniki, instytutu badania węgla, oraz obserwatorium astronomicznego, położonych w odległych wschodnich częściach miasta niema już tego dnia czasu. Udaję się ze sprawozdaniem do Prezydenta Drobnera, który szczególnie pilnie oczekuje wiadomości o Uniwersytecie. Około 11 w nocy wracam na kwatery i każe podać posiłek. Zaledwie siedliśmy za stołem, gdy do kwatery naszej wpada Prezydent Drobner z wiadomością, że biblioteka miejska jest zagrożona. Otrzymał właśnie doniesienie, że w sąsiedztwie biblioteki wybuchł pożar. Ofiarowuje mi auto z wojskowym kierowcą sowieckim i doradza wysłać kilku ludzi na miejsce celem ochrony budynku. Siadam na auto z kilkoma ochotnikami i ruszamy. Po drodze zatrzymują nas patrole i pijane grupy żołnierzy. Nasz kierowca legitymuje się, podpira swój dokument urzędowy potokiem argumentów słownych lub lufą automatu, albo wybucha lawiną przekleństw rosyjskich, od których wiedną uszy, lecz równocześnie rozstępują się szeregi i cofają lufy pepesz skierowane w głąb auta. Poruszamy się powoli. W okolicy wojskowej komendy sowieckiej, którą musimy minąć po drodze, przejazd staje się niemożliwy. Zatrzymują nas ostatecznie i stanowczo. Musimy wejść do gmachu komendy, aby uzyskać pozwolenie na poruszanie się nocą po mieście. Uzyskanie rozkazu trwa długo. W rezultacie około pierwszej w nocy docieramy na miejsce. Wokoło biblioteki pożar. Widno jak w dzień. Wręczamy naszym ochotnikom broń do ręki, której w bibliotece leży poddostatkiem i przetrząsamy piwnice gmachu. W jednej z nich odnajdujemy podejrzanego osobnika. Tłumaczy się, że przyszedł tutaj się przespać. Ponieważ wyrzucenie go na ulicę o tej porze oznacza niechybną śmierć, odsyłamy go na wartownię, aby mieć go na oku, rzucamy rozkaz naszej straży, jak ma obsadzić rozgrodzone wejścia do gmachu i patrolować jego otoczenie, wydajemy bezwzględny zakaz puszczania kogokolwiek do budynku, pozostawiamy komendę Dr. Knotowi i powracamy do domu. Zastajemy prezydenta jeszcze na nogach, oczekującego na raport, po czym idziemy spać.

Nad ranem rozsyłał ponownie patrole zwiadowcze na miasto. Lekarze, a mianowicie Docent Dr. Baranowski, Dr. Dzioba i Dr. Nowakowski udają się na wschód miasta do dzielnicy klinicznej. Dr. Spilczyński dostaje polecenie zbadania sytuacji w

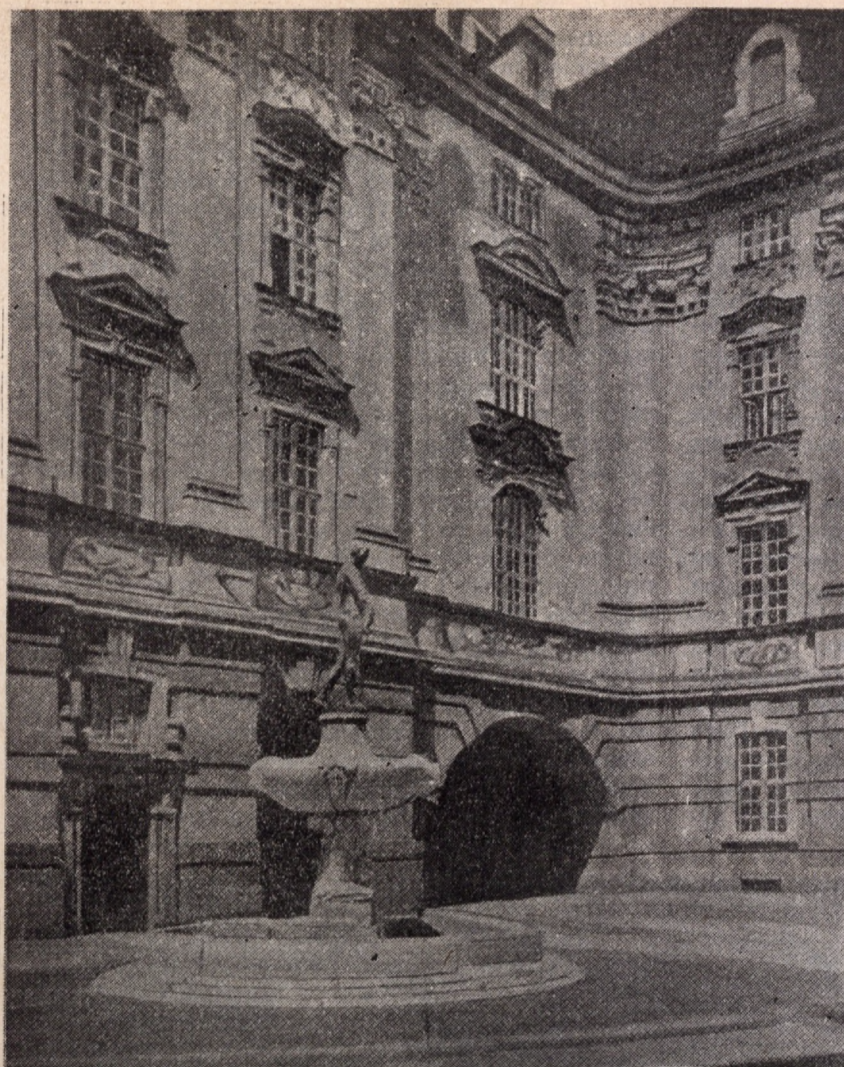
Rektor Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu Profesor dr Stanisław Kulczyński, którego energii i pracy zawdzięczają swą szybką organizację uczelnie akademickie Wrocławia.

klinice neurologiczno-psychiatrycznej, Dr. Zwierzycy, Dr. Kuczyński i Dr. Jóźkiewicz udają się na Politechnikę, do instytutu rolnego i instytutu badania węgla. Mgr. Kuczera udaje się do astronomii. Ks. Prof. Niemczyk i Dr. Gorzelany skierowani zostają ponownie do centrum miasta, celem zajęcia gmachów uniwersyteckich i zorganizowania dorywczej opieki nad budynkami w oparciu o pozostałą na miejscu ludność niemiecką i kryjącą się jeszcze po piwnicach i norach dawną służbę uniwersytecką. Pozostają na miejscu w towarzystwie kilku akademików pozostawionych dla ochrony naszych kwater przed atakami z ulicy. Około 8 rano wpada gońiec: „Biblioteka uniwersytecka płonie”. Zabieram pozostałych ludzi i biegiem udajemy się na Kępę Piaskową. Na miejscu stwierdzam, że ogień w parterze biblioteki uniwersyteckiej zgodnie z naszymi przewidywaniami wczorajszymi wygaśł niemal zupełnie i od tej strony nie zagraża nic złożonym po przeciwnej stronie ulicy księgozbiorem. Natomiast budynek Instytutu Wschodniego sąsiadujący od południa z kościołem św. Anny zastajemy w ogniu. Zajął się od pożaru podłożonego w przylegających doń kamienicach. Wpadamy do nawy kościoła, gdzie leżą książki i zastajemy sytuację groźną. Dach kościoła płonie, a palące się listwy zaczynają osypywać się na stosy książek przez olbrzymi otwór wybity w sklepieniu. Moi chłopcy rzucają się z de-

terminacją na ratunek. O wodzie nie ma mowy. Wodociąg miejski zniszczony. Do Odry zbyt daleko i nie ma czym wody nosić. Próby ratunku ograniczają się do usuwania osøkami spadających palących się kwaczy i odrzucania za burtę książek, które rozpoczęły się tlić. W tym momencie rozlega się ogłuszający huk wybuchu. Przez rozwalone sklepienie kościoła i rozbitą bramę wpada chmura czarnego gorącego i pełnego iskiek pyłu. Ogarnia nas ciemność. W tej chwili uświadamiam sobie, że budynki we Wrocławiu są podminowane, albo pełne materiału wybuchowego złożonego w piwnicach. Na Kępie Piaskowej, gdzie mieściła się komenda obrony twierdzy nagromadzenie broni i materiałów wybuchowych musi być szczególnie duże. Oceniam sytuację za beznadziejną i rzucam rozkaz cofnięcia się. Ale moi młodzi ludzie podnieceni wzmożonym atakiem ognia nie myślą mnie słuchać. Krew mi uderza do głowy. Jestem wściekły na nich za niesubordynację i na siebie, że ich tutaj przyprowadziłem. Rzucam ponowny stanowczy rozkaz i wpadam na ulicę. Spotrzegam jednak, że za mną biegnie tylko jeden z moich młodych współpracowników. Pytam, gdzie reszta. Odpowiedź: „Nie chcę iść, mówią, że nie wszystko stracone”. Wracam, ażeby raz jeszcze powtórzyć rozkaz, ale pasja ściska mnie za gardło i nie pozwala wyrzucić z siebie słowa. W tym momencie rozlega się nowy wy-



Portal Uniwersytetu we Wrocławiu



Fragment
Uniwersytetu Wrocławskiego



buch i huk walących się murów. Na jezdnię sypią się ściany Instytutu Wschodniego i część wieży kościoła Panny Marii. Równocześnie jednak w chmurze pyłu i lecących płonących kwaczy i iskier ukazują się sylwetki dalszych trzech moich studentów wypadających z kościoła św. Anny. Nie mówię do nich nic, tylko wracam do kwatery niemal złamany. Idę do Prezydenta i zastaję go w gronie współpracowników zarządu miejskiego, odbierającego sprawozdanie dzienne. Składam raport, że biblioteka uniwersytecka nie istnieje. Prezydent jest wzburzony i wzruszony. Opanowuje się jednak szybko, powstaje z krzesła i oświadcza uroczyście: od dziś dnia biblioteką uniwersytecką będzie biblioteka miejska. Miasto odda wszystkie rozporządzalne środki, aby umożliwić pracę instytucji, którą uważa za podstawowy element swojej wielkości.

W kwaterze zastaję nowych ludzi. To więźniowie z obozów koncentracyjnych we Wrocławiu zgłaszają się do pracy w grupie uniwersyteckiej. Wszyscy pochodzą z Warszawy. Deportowano ich do obozów po powstaniu. Jedna twarz wydaje mi się znajoma. Jest to Edward Zubik były asystent Uniwersytetu Łwowskiego, później osiadły w Warszawie, dzisiaj jeden z najbardziej zasłużonych pionierów, który Uniwersytetowi zorganizował tabor

i warsztaty samochodowe. Za nim zgłasza się Inż. Dyonizy Smoleński z Warszawy, przyszły organizator i administrator Politechniki, któremu politechnika wrocławska zawdzięcza ocalenie przed ruiną i swój dzisiejszy imponujący wygląd. Zgłasza się także p. Jarema, absolwent Prawa ze Lwowa, który zorganizuje niezadługo biuro delegatury Ministra Oświaty. Jest tych ochotników więcej. Siły grupy uniwersyteckiej ulegają niemal podwojeniu.

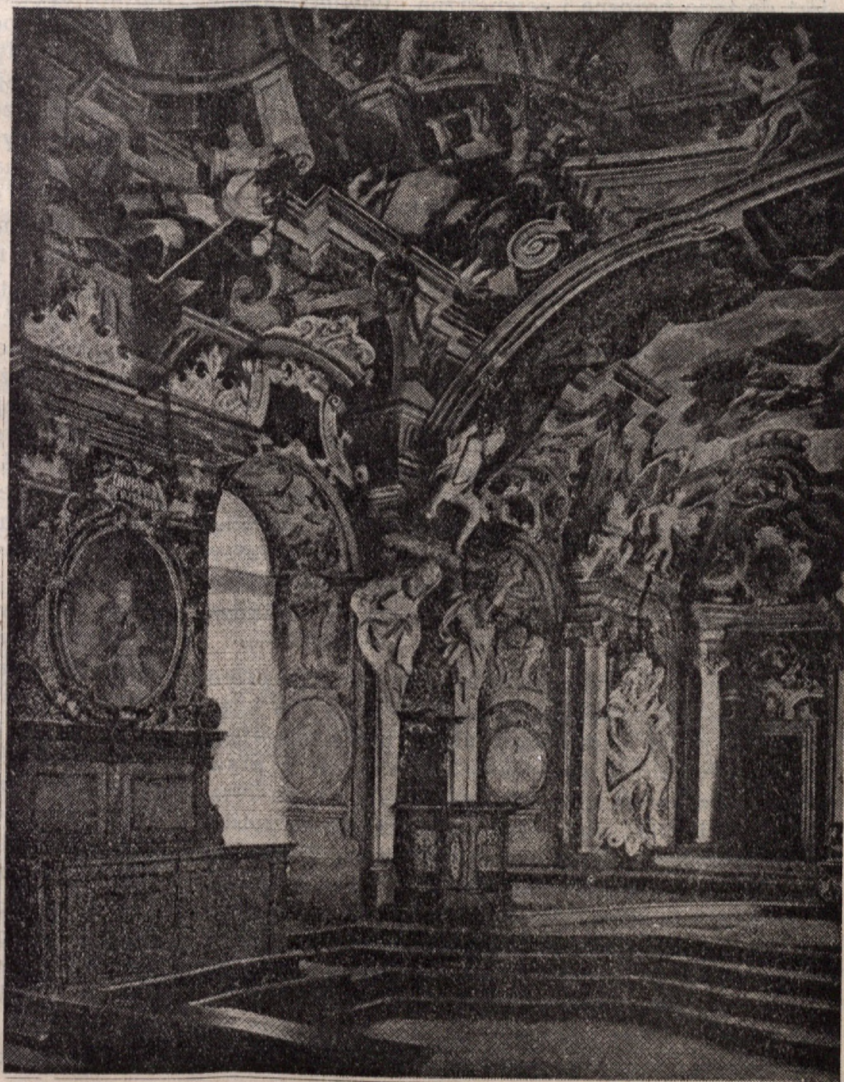
Za chwilę wzywa mnie ponownie Prezydent Drobner i wydaje polecenie przyjęcia w jego imieniu delegacji miejscowego kościoła katolickiego i ewangelickiego, która przybywa oddać sprawę kościelne pod opiekę władz polskich. Zabieram ze sobą ks. kanonika Lagosza i ks. prof. Niemczyka i udaję się na rozmowę.

Pod wieczór napływają dalsze raporty z mojej grupy. Doc. Dr. Baranowski przynosi raport o stanie klinik, Dr. Zwierzycki o politechnice, Dr. Owiński o stanie kliniki stomatologicznej. Wiadomości są raczej pomyślne. Dzielnica kliniczna mimo poważnych strat ocalała jako całość. Analogiczna sytuacja panuje na Politechnice i w Instytucie Rolnym. Klinika stomatologiczna mimo ośmiu uderzeń artyleryjskich stoi. Dachy oczywiście, bramy, drzwi i okna wszędzie zniszczone, ale w budynkach pełno

cennego materiału naukowego pod gruzem. Wschodnia część miasta ucierpiała widocznie mniej niż jego południe i centrum.

Jakkolwiek jest późno, zwołuję naradę moich kolegów i współpracowników, aby zastanowić się nad sposobami zabezpieczenia ocalałych budynków i zawartych w nich materiałów. Problem nie jest łatwy do rozwiązania. Na każdym kroku występuje na jaw nasza zupełna bezsilność w obliczu pożarów, rabunku i ogromu zniszczenia. Poczucie bezsilności potęguje wizja straconej przed południem biblioteki. Nikt nie jest pewny, czy zostanie jutro na miejscu to, co dzisiaj widział. Padają różne rady gorsze i lepsze, ale w obliczu sytuacji wątpliwe i połowiczne. Czuje, że wszyscy, którzy radzą oczekują rady ode mnie, a nade wszystko oczekują, ode mnie podparcia. Ja zaś mogę im powiedzieć tylko, że moja siła jako kierownika jest tylko sumą siły moich współpracowników, moja pomysłowość sumą ich własnej pomysłowości. Chcę im powiedzieć, że gdy władza leży na ulicy i nikt nikogo nie słucha nie należy się oglądać za egzekutywą dla podparcia swoich rozkazów, ale trzeba poprostu rozkazywać i skupiać koło siebie tych, którzy chcą słuchać, gdyż oni dopiero stworzą poszukiwaną

siłę przeciwko tym, którzy słuchać nie chcą. Im mniej się ma siły, tym silniej trzeba ją manifestować. Milczę jednak, aby odstonięciem swojej chwilowej bezsilności nie zniechęcać tych, którzy we mnie widzą oparcie, siłę i radę. Nakazuję więc zmobilizować Niemców do prac porządkowych, wystawić im legitymacje zwalniające od innych prac przymusowych, wywiesić chorągwie białoczerwone, umieścić na gmachach surowe zakazy wchodzenia na teren zabudowań uniwersyteckich i afisze stwierdzające zajęcie budynków na rzecz Ministerstwa Oświaty, zgromadzić sprzęt przeciwpożarowy choćby w postaci wiader, sformować grupy ratownicze z Niemców, zawalić gruzem rozwalone bramy i szereg innych zarządzeń, które przychodzą mi do głowy, lub podsuwają mi pomysły współtowarzysze. Mimo to padają nerwowe pytania: „Jak bronić się przed atakami wpadających do budynków gromad uzbrojonych żołnierzy szukających łupu i nie liczących się z niczym. Możeby prosić Prezydenta, ażeby zażądał osłony wojskowej od komendy radzieckiej?” Ciśnięcie mi się do ust odpowiedź, że Pierwszy Prezydent przejął właśnie z rąk radzieckich władzę w mieście w imieniu Rządu Rzeczypospolitej, i nie



Uniwersytet Wrocławski —
Aula Leopoldina

uczyni nic, coby dowodzić mogło, że władzy tej nie jest w stanie wykonywać.

Chcę odpowiedzieć pytającym, że sami muszą znaleźć radę zastosowaną do miejsca, chwili i okoliczności. Wstrzymuję się jednak, gdyż nie mam gotowej odpowiedzi na pytanie, które niezawodnie padnie w replice: „Co by Pan zrobił na moim miejscu z bandą rabujących i pijanych żołnierzy

wpadającą do zakładu?” W tej chwili przychodzi mi w pomoc Dr. Owiński, który usiadł na łóżku, ściągnął marynarkę i rozwiązuje krawat przygotowując się do snu ku pewnemu zgorszeniu obecnych z powodu takiej obojętności dla sytuacji. „Do mojej kliniki” — powiada — „nie wejdzie tej nocy nikt, a jeżeli wejdzie, to złamie kark”. Jak to pan uczynił? — „Kazałem rozebrać schody”.

Wertując stare książki i mapy . . . / *Bolesław Olszewicz*

Że Śląsk stanowi prastarą, piastowską ziemię polską, wie u nas każdy. Świadomość tę wzmacnia prasa, podsyca radio, utwierdza — zgodnie ze swym obowiązkiem wobec Narodu-nauka ojczysta. Czyni to z pełnym poczuciem słuszności i odpowiedzialności. Żadne, najbardziej nawet wymyślne kłamstwa niemieckie nie zdadzą się na nic. Nie pomoże Niemcom, ani powoływanie się na archeologię, ani na historię, ani na tak zwane „prawa” geopolityczne. Twierdzenia o germańskiej jakoby prehistorii krain śląskich są najzupełniej bezpodstawne, a geopolityka, gdybyśmy tę pseudonaukę w ogóle tolerowali, nam raczej dostarczyć by mogła argumentów.

Niemieckość Śląska jest stosunkowo świeżej daty, jest do tego pozorna i zewnętrzna. Powierzchowne zgermanizowanie Kraju drogą skrzętnego zatarcia, gdzie się dało, śladów polskości, oraz masowego usunięcia polskich nazw miejscowych i zastąpienia ich niemieckimi nie dało spodziewanych rezultatów, bo nie mogło przekreślić przeszłości. Jak wszędzie tak i tu zwycięża ostatecznie prawda i ona wyłącznie ma w najwyższym trybunale historii istotne i decydujące, znaczenie. To też wydobycie jej na wierzch, odsłonięcie, lub wygrzebanie z pod pyłu wieków nieznanych jeszcze zabytków i dokumentów, potwierdzających o d w i e c z n ą p o l s k o ś ć Śląska należy do najpilniejszych i najważniejszych zadań polskiej nauki historycznej. Mimo bowiem godnych uznania wysiłków naszych uczonych i instytucyj (z Polską Akademią Umiejętności oraz Instytutem Śląskim na czele), wiele jeszcze pozostaje w tej dziedzinie do odkrycia, zbadania i spopularyzowania. Obszerne pole pracy otwiera się więc przed świeżo powstałym Wrocławskim Towarzystwem Miłośników Historii, a wdzięczne zadanie ma też pod tym względem Towarzystwo Naukowe we Wrocławiu.

Musimy, i to z odpowiednią dokumentacją, przedstawić światu nasze prawa do Śląska, ale i w kraju wzmóc trzeba najszybciej akcję uświadamiającą. Musimy wpoić w społeczeństwo słuszne i prawdziwe przekonanie, że cały Śląsk aż po Nysę Łużycką i Sudety ma odwieczną przeszłość polską, że błędem jest mówić o pionierstwie na Zachodzie, gdyż jest to tylko powrót na własne, m a c i e r z y s t e z i e m i e. Musimy nauczyć społeczeństwo należycie doceniać rolę Śląska, by zdało sobie sprawę, iż była to niegdyś i jest integralna część Polski, by zrozumiało w czym się ta dzielnica kraju wówczas, a także później, w latach obcego nad nim panowania, kulturze polskiej przysłużyła. Powie

ktos, że to już przeszłość, że w dobie tak szalonego, jak dzisiejsze tempa życia nie czas oddawać się wspomnieniom, że szkoda na nie trudu oraz czasu i innej jąc się trzeba propagandy, gdy nowe w zmienionych warunkach otwierają się przed nami horyzonty; gospodarzyć byle dobrze, choćby na obcej jakby ziemi. Sprzeciwiamy się temu kategorycznie. Historia choć w części jest jednak mistrzynią życia. Nie daje bezpośrednich wskazówek, nie daje prognoz, ale stanowi o podstawach tradycji, a tradycjami żyją narody. Do całkowitego zrywania nici, łączących przeszłość z teraźniejszością nie upoważniają największe nawet przewroty polityczne i społeczne. Jakże uboga jest bowiem kultura narodów, bez tradycyj historycznych i odwrotnie, jak pełne, jak bogate bywa życie duchowe krajów o tradycji wielowiekowej, należycie mądrze pielęgnowanej. By do niej nawiązać niezbędną jest znajomość przeszłości, materiałów zatem dostarczyć muszą historycy. O tym, wracając dziś na Ziemię Odzyskaną nauka polska wie i pamięta. Uczeni polscy zdają sobie sprawę ze swych obowiązków, z roli, jaka im obecnie przypadła, trzeba, by i społeczeństwo i rząd w całej pełni ją oceniło.

Wertując stare książki i mapy, czasopisma i rękopisy zebrać można bardzo wiele świadectwa najściślej łączności Śląska z Polską w różnych czasach. Można też zgromadzić nie mało dowodów przodowniczej jego u nas roli za Piastów. Aż po wiek XIV. wszędzie na szerokim świecie uchodził Śląsk za część Polski, taka była zgodna opinia historyków i geografów. Najzupełniej to zrozumiałe. Jako zachodni bastion państwa polskiego wykazał on w średniowieczu czynnie swą polskość, broniąc się zażarcie przed atakami niemieckimi. Ludność miast Głogowa i Nysy walczyła w wieku XI z sąsiadem zachodnim niemniej bohatersko jak Westersplatte lub Warszawa we wrześniu 1939 r., mimo, iż Niemcy używali już wówczas tych samych nikczemnych metod postępowania z ludnością, które mieliśmy możność poznać w wojnie ostatniej. Nie zapominałmy, że taki np. Wrocław jako jedno z głównych miast polskich i stolica polskiego biskupstwa, istniał już wtedy, gdy o Warszawie głucho jeszcze było w dziejach.

Na wielkiej, kulistej mapie średniowiecznej świata, wykonanej około 1280 roku w klasztorze niemieckim w Ebstorf, figurują tylko dwa miasta polskie. Jedno z nich — „Civitas Poloniae”, to niewątpliwie Kraków, drugie — Wrocław.

Sięgnijmy do pisarzy odleglejszych krajów, np. do



Wycinek z mapy Filmanna Stoltza z r. 1560

poświęconych Polsce fragmentów dzieła geografa arabskiego Abu Abd Allah Muhammada al — Idri-siego, do tzw. Księgi Rogera, ukończonej w roku 1154, a napisanej na zlecenie króla sycylijskiego Rogera II. Świeżo w tłumaczeniu polskim T. Lewickiego wydała je Polska Akademia Umiejętności w Krakowie. I tutaj wśród „kwitnących i ludnych” miast Polski, zasługujących na szacunek, ponieważ przebywają w nich uczeni wykształceni w dziedzinie nauk i religii rumijskiej (tj. obrzędu rzymskiego), wśród „sławnych i silnych centrów, w których zebrane są dostatki rozmaitych krajów”, miast „o podobnym wyglądzie” i „zwartym zabudowaniu” wymieniona jest Ratislaba, pod którą to nazwą nie trudno i tu poznać zniekształconą, łacińską nazwę Wrocławia: Vratislavia.

Śląskowi zawdzięczamy pierwszego naszego uczonego. Był nim żyjący w wieku XIII. fizyk Witelo, autor „Perspektywy”. Otóż i on (choć syn Niemca z Turynii i Polki), zarówno w swym dziele, jak i w korespondencji, stale swe rodzinne, śląskie strony Polską nazywa. Polakiem był także pierwszy nasz podróżnik — franciszkanin z Wrocławia pochodzący, zwany Benedyktem Polakiem, który równo siedemset lat temu towarzyszył wysłannikowi papieża — Janowi Pian del Carpine w jego misji dyplomatycznej na dwór wielkiego chana, do Karakorum w Azji Środkowej, (1245—1246). Na Śląsku w drugiej połowie XIII wieku, w tzw. Księdze Henrykowskiej — księdze fundacyjnej klasztoru pod wezwaniem Matki Boskiej w Henrykowie pod Wrocławiem po raz pierw-

szy zapisane zostało całe zdanie w języku polskim¹. Fakty te komentarzy nie wymagają.

Rozbicie dzielnicowe Śląska, w wieku XII poczęte, nie wpłynęło na opinię obcą. Była to sprawa wewnętrzna, polska; Śląsk był dla geografów w dalszym ciągu częścią Polski. Jeszcze w r. 1308 anonimowy opis Europy środkowo — wschodniej wśród sześciu księstw polskich wymienia trzy śląskie (głogowskie, wrocławskie i opolskie), a wśród rzek polskich, obok Wisły, same rzeki śląskie: Odrę, Nysę i Bóbr. Bo też (jak twierdzi nie kto inny, tylko Karl Weinhold, wybitny germanista, profesor uniwersytetu we Wrocławiu i Berlinie) jeszcze w wieku XIII, poza pewnymi tylko obszarami górkimi i miastami, nie było na Śląsku czyśto niemieckich terenów. Jeszcze w wieku XIV, w takich powiatach granicznych, jak jeleniogórski, lub lwowski mieszkało bardzo wielu Polaków, a na równinach śląskich mieli oni stanowczą przewagę.

Zmiany nastąpiły dopiero po epokowej dla Śląska dacie, po r. 1335, gdy Kazimierz Wielki rzekł się na rzecz króla czeskiego Jana Luksemburczyka, zwierzchnictwa nad książętami śląskimi, ale nastąpiły one stopniowo. Jeszcze geograf doby humanistycznej Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, późniejszy papież Pius II., niezbyt, dodajmy, Polsce życzliwy, kreśląc w połowie XV wieku swój opis

¹ Por. artykuł. prof. W. Taszyckiego w Nr. 1 „Śląska” z r. b.

Europy nie uważa Śląska za część Niemiec. Jest to dla niego kraj między Niemcami, Polską, Morawami i Węgrami. Wschodnią granicą Germanii jest Odra, która stanowi równocześnie i wschodnią granicę języka niemieckiego.

Z pełnym poczuciem odpowiedzialności stwierdzić możemy, że w zakresie geografii Śląska, nauka polska wyprzedziła naukę niemiecką. Zanim zdobyli się Niemcy na opis krain śląskich już istniały poważne zręby geograficznego obrazu tej dzielnicy, przez uczonego polskiego sporządzone. Pierwszeństwo to zawdzięczamy wielkiemu naszemu historykowi, będącemu też wybitnym i pierwszym naszym geografem — Janowi Długoszowi. Do podjęcia pracy nad dziejami i geografiami ojczyzną skłoniła go, jak wiadomo, gorąca miłość kraju. Uczucia te znalazły również wyraz w ujęciu przezeń spraw śląskich. Bolał Długosz nad utratą formalną Śląska, zwał go nadal „częścią Królestwa Polskiego, zdradziecko i niesłusznie od niego oderwaną” i tym bardziej się nim może interesował. Nie sporządził wprawdzie pełnego, systematycznego opisu krain śląskich, ale wiadomości, jakie o nich w dziele swym pomieścił zdumiewają, mimo lapidarności ujęcia, niebawem jak na owe czasy dokładnością, oraz bogactwem szczegółów. Wskazują na to samodzielne spostrzeżenia i wywiady.

Celuje Długosz w hydrografię i w tym naprzykład zakresie przewyższa bezsprzecznie późniejszych odcen geografów niemieckich. Jeden tylko przykład: Bartłomiej Stein, niemiecki autor pierwszego opisu Śląska, w pół wieku po Długoszu piszący, wymienia 10 rzek śląskich. Długosz zna dokładnie i opisuje ich 30, żadnej ważniejszej nie pomijając. Dopływów Odry wylicza 48. Są oczywiście w dziele jego błędy, braki i niedokładności, mimo to jego, nie kogo innego, uznać trzeba za ojca geografii Śląska.

Słowo na marginesie tego, niewątpliwego zresztą pierwszeństwa nauki polskiej. Lat temu dziesięć, w r. 1936 wydał Instytut Śląski w Katowicach, moje „Najdawniejsze opisy geograficzne Śląska”, w których rolę Długosza dobitnie podkreśliłem. Praca moja (podobnie jak szereg innych, nowszych prac polskich o ziemiach zachodnich) doczekała się tłumaczenia niemieckiego, wręcz osobliwego. Przełożył ją oślawiony F. A. D o u b e k, opublikowało ją zaś w powielaczu Biuro Wydawnicze Tajnego Archiwum Państwowego w Berlinie „tylko dla użytku służbowego”. Dzięki przekładowi wywołała książeczka moja kilka przemianek i sprawozdań niemieckich, ale wszystkie — z najobszerniejszymi Wernera i Schlengera na czele, przemilczały zasługi Długosza. Znaczenie jego w geografii starały się natomiast obniżyć podnoszeniem jednego z jego błędów (co do rzeki Sprewy) — przeze mnie nie ukrywanego, zapominając nadmienić, iż tenże błąd, jeżeli nie gorsze, popełniali geografowie i kartografowie w sto lat po Długoszu.

Wspomnieliśmy wyżej o niemieckim geografie Steinie. Warto się z nim zapoznać, boć to zasłużony autor pierwszego „Opisu całego Śląska” (1505),

oraz „Opisu Wrocławia” (1513). Godzi się jednak na wstępie podnieść, że zarówno on, jak i twórca pierwszej mapy Śląska (1561), Marcin Helwig (również Niemiec) byli wychowankami Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Stein jest dla nas cennym źródłem informacji o dawnym Śląsku, jako wyraz opinii uczonych niemieckich z przed czterech przeszło wieków, również i o jego polskości. Naród niemiecki na Śląsku jest, według Steina „napływowy” przybył tam „stopniowo, zwabiony korzyścią handlu z sąsiadami, posiadającymi wielkie ilości kosztownych futer, skór, bydła, wosku, miodu, mydła i ołowiu”. Dalej zaś pisze geograf niemiecki: „Że jednak ongiś posiadali Polacy cały Śląsk, oprócz języka polskiego, który dotychczas rozpościera się na znacznej części Śląska, dowodzą księżęta; że byli oni Polakami stwierdzają napisy w założonych przez nich świątyniach, wskazuje też na to sąsiedztwo narodów jak to Czechów, Polaków i Łużyczan, którzy wszyscy mówią językiem słowiańskim, dowodzą tego również stare nazwy miast, jak Brzeg, . . . albo Strzegon, a także Jaworz i wiele innych; istnieją także miasta nazwane od słowiańskich imion Wratysława i Bolesława . . .” Według Steina granica językowa polsko — niemiecka za jego czasów biegła Odram, ale w pewnych ustępach dzieła zdradza się on, że w tym twierdzeniu jest zbyt na korzyść Niemców stronny. Może tu być mowa tylko o przewadze jednej narodowości nad drugą. Bo oto w „Opisie Wrocławia” wzmiankuje Stein o nieistniejącym już dziś kościele św. Klemensa . . .” należącym do Polaków i rybaków”, co, jak wiele innych faktów, dowodzi, że we Wrocławiu, na lewym brzegu Odry, ludność polska musiała być na początku XVI wieku liczna, skoro posiadała osobny kościół polski. Zresztą istnienie ludności polskiej na lewym brzegu Odry pośrednio potwierdza Stein twierdzeniem, iż tamtejsze „bogatsze wsie i wioski należą do Niemców”. Warto wtrącić, iż do połowy XIX wieku żywa była we Wrocławiu i w użyciu nazwa polskiej strony na prawym brzegu Odry, przedmieścia wrocławskie na tym brzegu położone, nazywano jeszcze wtedy „Polackenstadt”.

Już w wieku XVI oburzały niektórych naszych pisarzy zakusy germanizacyjne i łączące się z nimi wywody etymologiczne niektórych autorów niemieckich, np. Joachima Cureusa. Należylą odprawę dał mu Maciej Strykowski. „Ślęzacy — pisał on, którzy byli i teraz by słusznie być mogli prowincją Polskiego Królestwa, bo z początków swoich, jako się z Polaków rozmnożyli, tak też ku Polsce należą, awżdy ich jakiś Cureus śmie wywodzić z rajszych ogrodów poetów zmyślonych . . . A miasta ich od polskich księząt, co jaśnie każdy wie, zbudowane i polskimi imionami nazwane, inaczej sprośnym sfałszowaniem przechodzi . . ., sprośnie, a jawnym fałszerstwem, aby nic Śląsko z Polską, nie miało zapakować”.

Nie wszystkim można było robić takie zarzuty. Bo oto, jak świadczy wycinek z mapy Niemiec Tiedemannna Stelli z r. 1561, kartograf ten niemiecki zarówno „proniemieckie” Bielsko, jak i równie „od-

wiecznie niemieckie" Gliwice lub Strzelce zna tylko pod poprawnymi ich polskimi nazwami.

Nic dziwnego, że w wieku XVII — jak stwierdza historyk literatury niemieckiej na Śląsku — Haus Haeckel — Śląsk był w opinii ówczesnych Niemców „mało znanym, odległym krajem kresowym, którego mieszkańców wciąż jeszcze uważano za półpolaków”. A ci mieszkańcy — jeśli są już nawet wówczas półpolakami tylko, lub zgoła Niemcami, muszą czuć potrzebę jakiejś łączności z Polską, skoro tam „dziatki swe posyłają” dla nauczania się języka polskiego jak należy. Stwierdza to Jeremiasz Roter w swym „Kluczu do polskiego i niemieckiego języka”, wydany w Wrocławiu w r. 1616, dziełku zasługującym na uwagę ze względu na inny ustęp przedmowy, uzasadniający potrzebę „tu u nas po całym Śląsku, a osobliwie we Wrocławiu wszystkim kupcom, gospodarzom gościnnym i rzemieślnikom pilnie potrzebnego języka”, oczywiście polskiego.

Ale uderzmy się w piersi w imieniu naszych przodków. W XVI i XVII wieku nauka polska okazuje coraz mniejsze zainteresowanie dla spraw śląskich. W geografii polskiej zachowuje się czas jakiś poczucie wspólnoty ze Śląskiem (jak u cytowanego wyżej Strykowskiemu z r. 1582), pojawia się pojęcie Odry jako naturalnej granicy Polski (jak u Marcina Bielskiego w r. 1552), ale na ogół wówczas właśnie rozpoczyna się w nauce polskiej smutny okres rezygnacji z ziemi śląskiej. „Śląsko, które od niego odpadło” — jest dla Joachima Bielskiego tylko zachodnim sąsiadem Księstwa Polskiego (1597). Marcin Kromer, historyk wybitny i geograf nie byle jaki, wie że Słężacy są wspólnego z Polakami pochodzenia i języka, że nazwy geograficzne na Śląsku są polskie, a Niemcy tamtejsi to imigranci, ale i on w swym świetnym opisie Polski z r. 1577, uważa szczegóły geograficzne o Śląsku za zbędne. O Odrze pisze, że niegdyś źródło jej i ujście biegiły w obrębie Polski, nic więcej.

Sporo lat upłynęło zanim przyszło w naszej nauce polskiej otrzeźwienie z powyższego, przez Niemców narzuconego stanu. W tym czasie trwa i rozwija się na Śląsku napór niemczyzny. Wskutek akcji kolonizacyjnej Fryderyka Wielkiego traci polskość tamtejsza szereg pozycji. Ale brzmi jeszcze mowa polska pod Wrocławiem, Bierutowem, Strzelinem, Oleśnicą, a (rzecz charakterystyczna) wcześniej niż w innych obszarach ziem polskich ukazuje się na Śląsku Dolnym pierwsze pismo ludowe — „Gazety śląskie dla ludu pospolitego” (1790).

I tu następuje najbardziej chyba sensacyjna wiadomość na wertowaniu starych książek ze Śląskiem związanych oparta. Okazuje się, że pierwszymi obrońcami Ślązaków polskich, ich mowy, oraz naszych praw historycznych do Śląska byli Niemcy, wyjątkowi, uczciwi, bezstronni, pod wpływem liberalnych idei wieku oświecenia pozostający pisarze niemieccy z końca XVIII w. Jest to bez wątpienia wpływ humanitarnych prądów ówczesnych, przede wszystkim wpływ Herdera, głoszącego równość wszystkich narodów i ku oburzeniu Niemiec hitlerowskich idealizującego narody słowiańskie.

Wystąpili oni wówczas w obronie Łużyczan (Jan Kogner i Chrystian Knauth), wystąpili i w obronie Polaków. Byli jeszcze wtedy „sędziowie w Berlinie”, byli jeszcze Niemcy, dla których prawda miała znaczenie i walor.

W r. 1792 ukazała się we Wrocławiu pokaźnej objętości książeczka p. t. „Reise durch Schlesien im Juli und August 1791” (Podróż po Śląsku w lipcu i sierpniu 1791). Zwrócił na nią niedawno temu uwagę prof. Uniw. Jagiellońskiego K. Piwarski. Autorem wspomnianej książeczki, rzeczywiście nader dla nas ciekawej, był prof. Schummel. Wyruszył on w drogę dość niechętnie usposobiony dla ludności polskiej. Zetknął się z nią w swej wycieczce krajoznawczej niejednokrotnie nawet w miastach (w Namysłowie, w Tarnowskich Górach itd.) w odpowiedzi na niemieckie pytania niejednokrotnie usłyszał „nie ro sumie” (nie rozumiem). Dowiedziawszy się i od innych niejednego o polskich Ślązakach z godną uznania odwagą przyznał się w końcu do zmiany swego o nich mniemania, a co ciekawsze przejrzał zakłamanie własnych rodaków, począł bronić Polaków i polskich praw, polskich do Śląska w całej rozciągłości. Jeden ustęp książeczki zasługuje w pełni na reprodukcję fotograficzną (Nr 1 „Śląska”) oraz na przytoczenie go w tłumaczeniu. Schummel zwraca się do swych rodaków z następującym wezwaniem „trzymacie się tak silnie dawnych praw i przywilejów. Gdyby miały tu one znaczenie, to musielibyśmy się wyrzec mówienia choćby słówkiem po niemiecku, a mówić wyłącznie po polsku, gdyż język polski jest bezspornie na Śląsku starą mową kraju, a język niemiecki dopiero stopniowo wkraść się tu i wtargnął... Bardzo wiele nazw dolnośląskich miast jest szczeropolskich i niegdyś, w całkowicie dziś niemieckich Bolesławcu, Jaworzu itd. mówiono wyłącznie po polsku. Lepiej tedy nie zaczynać procesu przeciw Polakom śląskim; przed trybunałem historii przegramy go we wszystkich instancjach”.

Schummel — jako jednego ze swych informatorów wymienia pastora Jana Wilhelma Pohle z Tarnowskich Gór, autora broszurki, w obronie Górnoślązaków polskich w r. 1791 wydanej („Der Oberschlesier verteidiget gegen seine Widersacher.” — Wrocław), jest to niewątpliwie główna podstawa informacji Schummela — mocna obrona Polaków śląskich, ich języka, obyczajów i ich praw. „Nie ulega wątpliwości — pisze np. Pohle, że Górnoślązak mówi lepiej po polsku, niż Dolnoślązak po niemiecku i dlatego właściwie nie miałby mówić po polsku?”. Dalej się pyta „jaki jest język tutejszy na Śląsku? Chyba nie niemiecki? Po ilości nazw miast i wsi pewnego kraju poznaje się bezwątpienia, który język przy ich powstaniu był panujący. Co znaczy Głogów, Bolesławiec, Wołów, Jaworz, Wrocław, Brzeg po niemiecku? Ale w języku polskim jest to wszystko zrozumiałe. Czy niesłuszny jest wniosek, iż gdy budowano te miasta, był język polski na Śląsku językiem krajowym?” — Wystarczy!

Z pamiętnika Henryka Steffensa prof. Uniwersytetu Wrocławskiego, z pochodzenia Norwega, lecz

gorącego patriotę niemieckiego, zwanego „pierwszym ochotnikiem” w wojnie przeciw Napoleonowi z r. 1813, jeden tylko szczegół tu zanotujemy. Gdy otrzymał on zaproszenie na katedrę do Wrocławia, wahał się — jak sam pisze, czy przyjąć wezwanie ze względu na „odległe położenie, prawie przez ludy słowiańskie otoczonej prowincji”, która nie wydała mu się nawet „prawdziwie żywą częścią państwa niemieckiego”. Było to w r. 1811. Polakom — łączność Śląska z Polską wydawała się wówczas bezsporna. Tak pisali Jerzy Samuel Bandtkie, Hugo Kołłątaj, Stanisław Staszic; tak sądzili inni współcześni.

Julian Ursyn Niemcewicz, który zwiedził Śląsk w r. 1821, tak pisze o polsko — śląskiej wspólnotcie: „Wszystko na drugiej stronie (tj. na Śląsku), wszystko takie jak u nas, ta sama mowa, strój, obyczaje, położenie kraju, wszystko świadczy, że Polska i Śląsk jednym narodem, jedną była krainą”.

To samo stwierdził ćwierć wieku później Wincenty Pol (1847). Podkreśla też powszechną znajomość języka polskiego we Wrocławiu: „... rzadki dorożkarz — pisze, któryby nie umiał po polsku, gdy pozna, że wiezie Polaka, służba w oberżach i kupczyki po magazynach poznali nas na pierwszy rzut oka i wszędzie znajdzie się przynajmniej choć jeden człowiek w domowym lub handlowym składzie, co mówi dobrze po polsku, wszystkie napisy na sklepach są w dwóch językach pisane, nawet Niemcy, właściciele majątków wiejskich, posiadający dobra w okolicach, gdzie ludność miejscowa mówi po polsku, uczą się tutaj z potrzeby języka ludu...” Podobne uwagi znajdujemy w korespondencji z Wrocławia, drukowanej w lipcu 1872 r. na łamach krakowskiego „Czasu”. „Przed laty czterdziestu, a nawet 30 można było językiem polskim nawet w samym Wrocławiu dać sobie rady, nie umiejąc słowa po niemiecku...” Pol stwierdził także, że księgarnia wrocławska Hirta i Schlettera „jest prawie wyłącznie zajęta handlem książek polskich”. Wiemy jak wielką rolę w dziejach wydawniczych odegrała wrocławska księgarnia nakładowa Korna. Warto przypomnieć, że między ro-

kiem 1794 i 1913 wydanych zostało we Wrocławiu 1000 książek polskich (tj. zaledwie sześć razy mniej, niż w tymże okresie w Poznaniu). A były to książki wybitnego nieraz znaczenia i zacnych zasłużonych autorów, nie brakło wśród nich jednostek takich jak Józef Wybicki i Joachim Lelewel. Wrocław był również w wieku XIX jednym z bardziej przez młodzież akademicką polską odwiedzanych ośrodków uniwersyteckich. Dzieje Literacko — Słowiańskiego Towarzystwa we Wrocławiu oraz działalność i usługi dwóch wybitnych profesorów języków i literatur słowiańskich na uniwersytecie wrocławskim: Wojciecha Cybulskiego i Władysława Nehringa w drugiej połowie zeszłego stulecia słusznie przypominał ostatnio Z. Bednorz na łamach „Odry” i „Dziennika Zachodniego”, słusznie też stworzone przez nich seminarium nazwał „Kuznią polskości”. Tu studiowali: Jan Kasprówicz, Bolesław Erzepki, Bronisław Chlebowski, ks. Konstanty Damroth, Adam Asnyk, Ignacy Chrzanowski i wielu innych. Poloniści dziesiętowego Uniwersytetu wrocławskiego mają wśród dawnych wykładowców i słuchaczy godnych poprzedników. I jeszcze jedna wiadomość. Statystyka urzędowa pruska w spisie ludności Wrocławia z roku 1900 wykazała obecność 8500, czyli 2% Polaków. Wątpić nie można, że było ich kilkakrotnie więcej, ale i ta niska cyfra ma swoje znaczenie.

Niech wybaczą łaskawi Czytelnicy, że tak krótko, tak pobieżnie została zdana sprawa z wertowania starych książek o Śląsku. Były to, oczywiście, okruchy tylko pismem utrwalonych świadectw odwiecznej polskości Śląska. Okruchy, ale godne pamięci. Na zakończenie należy zwrócić jeszcze uwagę na pewien ustęp z dzieła powstałego niemal tysiąc lat temu, ustęp z opisu podróży po krajach słowiańszczyzny zachodniej Ibrahima ben Jakuba z Tortozy w ówczesnej Hiszpanii Arabskiej: „Słowianie — pisze ten podróżnik żydowski — są to ludzie odważni i zaczepni. Gdyby nie było wśród nich rozdwojenia i rozdrobnienia ich plemion, zaden lud na świecie nie mógłby się mierzyć z nimi potęgą”. Słowa do dziś aktualne.

Śladami języka polskiego na Śląsku / Witold Taszycki

II.

Śląskie nazwy plemienne.

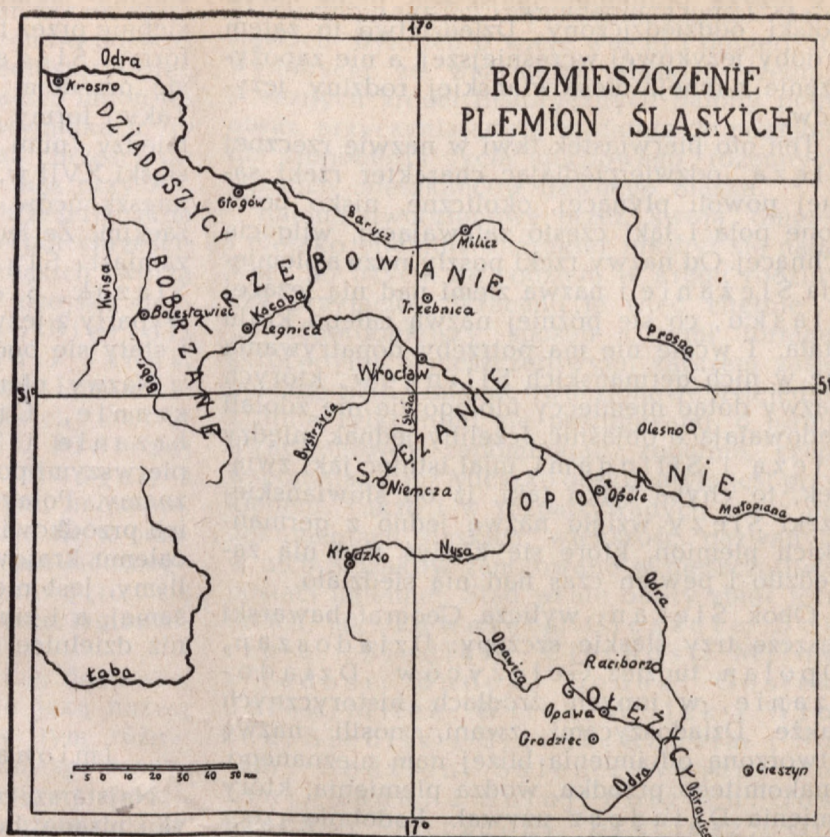
Siedzieli praojcowie nasi na Śląsku od czasów zamierzchłych, w najdalszej przeszłości nienakładnych. Zajmowali swoje od prawników ziemie, byli na nich tubylcami, a nie przybyszami. Porozumiewali się mową słowiańską, z której się zwolna język polski rozwinął. Nosili słowiańskie imiona, słowiańskimi nazwami obzywali góry, rzeki i własne sadyby. Nic więc dziwnego, że kiedy w w. IX tzw. Geograf bawarski opisywał grody i kraje na północnym brzegu Dunaju leżące, wymienił na Śląsku cztery osiadłe tam plemiona, z których każde szczerze polską nosi nazwę. Są to:

Ślężanie, Dziadoszanie, Opolanie i Gołężycy.

Polskość nazw plemiennych: Dziadoszanie, Opolanie oraz Gołężycy jest już na pierwszy rzut oka widoczna. Mniej pod tym względem jasna, ale zrazu tylko, jest nazwa Ślężanie, tym ważniejsza, że jej zrozumienie pozwoli nam też zrozumieć nazwę kraju Śląsk, występującą dawniej powszechnie, a dziś jeszcze w języku ludowym, w postaci Śląsko.

Rozbiór słowotwórczy nazwy plemiennej Ślężanie, w l. poj. oczywista Ślężanin, jej rozbitcie na części znaczeniowe każe w niej wyróżnić przede wszystkim przyrostek — anin, przy pomocy którego w językach sło-

Mapka reprodukowana z „Historii Śląska”, t. I, wydawnictwo Polskiej Akademii Umiejętności



wiańskich, a więc i w języku polskim tworzy się najczęściej nazwy plemienne, dość podać nazwy: Wiślanin - Wiślanie, Morawianin - Morawianie, Bobrzanin - Bobrzanie itp. Nazwa Wiślanie, oznacza mieszkańców ziem nad Wisłą położonych, Morawianie — mieszkańców ziem nad Morawą leżących, Bobrzanie — mieszkańców ziem nad Bobrem się rozciągających. Cóż zatem znaczy nazwa Słężanie? Zanim na to pytanie damy odpowiedź, przypomnijmy, że źródła historyczne wymieniają na Śląsku nazwę rzeczną Słęża (1155, 1202, 1208). Tak się nazywał jeden z lewobrzeżnych dopływów Odry wpadający do niej bezpośrednio na zachód od Wrocławia. Jasną jest rzeczą, iż ta właśnie nazwa rzeczna stanowi podstawę nazwy plemiennej, o którą nam chodzi. Znaczą więc nazwa Słężanie tyle, co „mieszkańcy kraju nad rzeką Słężą położonego”. Z nazwą rzeczną Słęża — odrazu to podnieść należy — łączy się też najściślej wprost od niej pochodząca nazwa kraju Śląsko, obecnie Śląsk. Stwierdzenia te jednak nie załatwiają wszystkiego. Koniecznością jest w dalszym ciągu objaśnienie nazwy rzecznej Słęża, co nam dopiero z kolei umożliwi ustalenie i znaczenia, i pochodzenia nazwy plemiennej i krajowej na niej opartej.

Przez długie dziesiątki lat w pracach naukowych prądziejom Śląska poświęconych, zarówno słowiańskich, jak zwłaszcza niemieckich, wywodzono nazwę Śląska i Słężan z nazwy germańskiego szczepu Silingów

wymienionych przez Ptolemeusza, geografę greckiego z II w., a przez niemieckich i niektórych słowiańskich badaczy na Śląsku umiejscawianych.

Bezpośredni związek genetyczny zachodzący między nazwami Słężanie i Śląsko z jednej strony, a nazwą rzeczną Słęża ze strony drugiej, nie pozwala na wyprowadzanie nazw pierwszych wprost od Silingów. Może się więc do powstania nazwy rzecznej Słęża przyczynili? Przypuszczenie tego rodzaju należy od razu odrzucić z tego zasadniczego względu, że nazw rzecznych od nazw plemiennych nie urabiano. Gdy więc żadnej wspólności wewnętrznej między germańskimi Silingami a nazwami Słęża, Słężanie i Śląsko wykazać się nie da, trzeba z dalszych rozważań na temat tych nazw wyłączyć Silingów i w rodzimym materiale językowym poszukać dla nich wyjaśnienia. Do zestawienia z nimi nadają się szczególnie znane w polskich narzeczeniach ludowych wyrazy: ślęgnąć = „moknąć, nasiąkać wilgocią”, ślęganina = „pora deszczowa, wilgoć”, ślęgwa = „mgliste powietrze, ślota, deszcz ze śniegiem padający”, prześlęgły = „przemoknięty”.^{*} Droga naukowej językoznawczej analizy wydzielamy z podanych wyrazów pierwiastek *sleng* — w językach indoeuropejskich występujący

^{*} Zwrócił na nie pierwszy uwagę prof. W. Semkowicz, który w ten sposób w wysokim stopniu się przyczynił do wykazania bezpodstawności twierdzeń, że Śląsk z pochodzenia jest nazwą germańską.

i z języka praindoeuropejskiego przez język polski oddziedziczony. Dziedzictwo to zatem z doby językowej wcześniejszej, a nie zapożyczenie z innej, niesłowiańskiej rodziny języków.

Ten oto pierwiastek tkwi w nazwie rzecznej Słęża, odzwierciedlając charakter rzeki samej powoli płynącej, okoliczne, nisko położone pola i łąki często zalewającej, wilgocią tchnącej. Od nazwy rzeki poszły nazwa plemienia Słężanie i nazwa ziemi nad nią leżącej Śląsko, co się później nazwą całego kraju stała. I wcale nie ma potrzeby dopatrywania się w nich germańskich Silingów, których nazwy dotąd niemieccy filologowie nie zdołali zadowalająco objaśnić. Jeżeliby jednak między Słężą i Silingami miał istnieć jaki związek, to chyba tylko taki, iż od słowiańskiej rzeki Słęzy wzięło nazwę jedno z germańskich plemion, które się kiedyś nad nią zapędziło i pewien czas nad nią siedziało.

Obok Słężan, wylicza Geograf bawarski jeszcze trzy śląskie szczepy: Dziadoszan, Opolan tudzież Gołęźyców. Dziadoszanie, w innych źródłach historycznych także Dziadoszycami zwani, nosili nazwę utworzoną od imienia bliżej nam nieznanego, znakomitego przodka, wodza plemienia, który imienia Dziadosz używał. Podobnie rzecz się ma z Gołęźycami. Ich nazwa jest również upamiętnieniem zasług i czci, jaką praojciec szczepu imieniem Gołęga wśród potomnych się cieszył. Nazwa Opolanie, oznacza ludność już to grodu Opola i jego okolicy, już to opola, czyli „krajny, stanowiącej przejście od pól równych do wyniosłych”. Tak, czy inaczej, nazwa to, jak i Dziadoszanie oraz Gołęźycy, formalnie i znaczeniowo przejrzysta, żadnych wątpliwości nie nastroczająca, rdzennie polska, jak tante i jak Słężanie także.

Do plemion śląskich wymienionych u Geografa bawarskiego dodać jeszcze trzeba wspomnianych w dokumencie cesarza Henryka IV z r. 1086 Trzebowian i Bobrzan. Nazwa Bobrzanie wyraża, że noszące ją plemię nad rzeką Bobrem miało siedzibę. Niezupełnie jasną jest nazwa Trzebowanie. Czysto językoznawczo sprawę ujmując, trzeba by ją z nazwą miejscową Trzebową powiązać i patrzeć na Trzebowian jako na mieszkańców Trzebowy. Tymczasem pomniki historyczne takiej nazwy miejscowej na Śląsku nie znają, co jednak nie znaczy, że kiedyś nie mogła istnieć. Ale i bez tego przypuszczenia potrafimy bodaj z grubsza obchodzącą nas teraz nazwę szczepową wytłumaczyć, łącząc ją z tizebieniem borów, jakie w czasach przedhistorycznych i historycznych jeszcze ziemie Śląska w pobliżu Legnicy i Trzebnicy porastały.

Z omówionych śląskich nazw plemiennych dni naszych dożyła tylko nazwa Słężanie zresztą nie w pierwotnej swojej postaci, lecz w formie wtórnej Słazacy. Jest to ta sama

zmiana, jakiej podległa nazwa Polanie następnie przez formę Polacy zastąpiona. Obok formy Słazak, Słazacy — posługiwano się przedtem formami Słażak, Słażacy. Takiej formy używają dawni autorzy śląscy, między nimi A. Gdacjusz, zasłużony pisarz śląski XVII w. Tak też brzmieć powinna nazwa mieszkańców Śląska w polskim języku literackim. Że jednak w większości gwar śląskich zamiast Słażak, Słażacy mówiło się Słazak, Słazacy, te formy dialektyczne wyparły z języka literackiego postaci z — ż — i stały się ogólnopanującymi.

Nazwy plemienne Słężanie, Dziadoszanie, Opolanie, Gołęźycy, Bobrzanie i Trzebowianie są zarazem pierwszymi polskimi wyrazami, jakie ze Śląska znamy. Polakami byli ich nosiciele, Polakami ich przodkowie, polski był szczep, który nazwę całemu krajowi nadał. Nazwa ta, jak widzieliśmy, jest niemniej polska, jak nazwa Polski samej, a i ziemia tak zwana niemniej polska, niż dzielnice nad Wartą czy Wisłą położone.

III.

Imiona dawnych Słazaków.

Najstarsze zabytki języka polskiego na Śląsku pisane, bulla papieża Adriana IV dla biskupstwa wrocławskiego z r. 1155 tudzież przywilej ks. Henryka Brodatego dla klasztoru w Trzebnicy z r. 1204, przekazują w tekście oczywiście łacińskim sporą ilość nazw osobowych i miejscowych przez Słazaków używanych w drugiej połowie w. XII i z początkiem w. XIII. Znaczna liczba zgromadzonych w obu dokumentach wyrazów polskich, jakkolwiek w grę wchodzi tak jednostronny materiał językowy, przynosi pewną liczbę wiadomości o niektórych przynajmniej właściwościach głosowych i słowotwórczych śląskiej polszczyzny na przestrzeni czasowej zgrubsza datami wystawienia tych dokumentów wyznaczonej. Rozpatrzenie pod tym względem zebranego w nich zasobu wyrazów śląskiej mowy ludowej pozwala stwierdzić, że nie zawiera nic takiego, co by ją różniło od języka innych dzielnic Polski, o ile go na podstawie podobnych zabytków poznać możemy.

Prócz wiadomości charakteru ściśle gramatycznego, które skwapliwie wykorzystują badania nad historią języka naszego, pouczają wspomniane zabytki, jak się nazywali ówczesni Słazacy, jakie miana wtedy nosiły niektóre śląskie miejscowości. Rzecz to ważna zarówno od strony historyczno-językowej, jak historyczno-kulturalnej. Przyjrzymy się przeto bliżej i jednej i drugiej sprawie, przy czym na razie tylko przy pierwszej z nich się zatrzymamy.

Porównując imiona dzisiejszych Słazaków z imionami ich dwunastowiecznych przodków, dochodzimy z łatwością do wniosku, iż pomimo przyjęcia wiary chrześcijańskiej w w. X, jeszcze

w XII stuleciu górę nad imionami chrześcijańskimi miały imiona rodzime, rdzennie polskie, korzeniami swymi w dobie przedhistorycznej, pogańskiej tkwiące. Na bez mała 250 imion tego typu mamy zaledwie w 14 wypadkach do czynienia z imionami, jakie wraz chrześcijaństwem z Południa i Zachodu do nas przyszły, albo też jakie pod wpływem chrześcijańskim u nas powstały. Ten nieduży zespół chrześcijański na rozległym tle imion polskich tworzą następujące mniej lub więcej na swojską modłę przerobione formy: Andrzej, Biertoli (tj. Bertold), Henryk, Jan i Janek, Jakub, Krszczon, Krzyżan, Ludwik, Ławrzysz (tj. Wawrzyniec), Pabir (tj. Faber), Paweł i Pawlik, Pietrzej (tj. Piotr), Rodzierz (tj. Rodger) i Szczepan. Zresztą pod rodzimymi imionami, czy nazwami osobowymi pojawiają się w omawianych dokumentach moiśni średniowiecznego świata, jak maluczcy: chłopci uprawą roli się zajmujący, rybacy, myśliwi, piekarze, łagiewnicy, tokarze, kołodzieje.

Jedni z nich zwą się uroczyscie, dostojnie, górnołotnie, inni pospolicie, byle jaką nazwą się zadowalając. Nie widać przy tym różnic między poszczególnymi warstwami społecznymi. Te same, o ile o typ znaczeniowy chodzi, imiona służą wszystkim. Tylko książęta rodziny Piastów różnią się w tej mierze od poddanych. Noszą imiona jakby dla siebie zastrzeżone, poza ich obrębem nie spotykane. Z tych czysto piastowskich imion jedynie dwa w naszym wypadku występują: Bolesław i Mieszko. Pierwsze jest pełnym, dwuczłonowym imieniem drugie — formą skróconą, „pieszczotliwą” prawdopodobnie imienia Miecisław, które późniejsi kronikarze i historycy nieudolnie na Mieczysław a przeinaczyli.

Obok tych imion „książęcych” postawić można i należy cały szereg podobnych, również z dwu członów-wyrazów złożonych, znanych dobrze dawnemu śląskiemu ludowi we wszystkich jego społecznych odmianach. Imiona tego rodzaju wyrażają w możliwie zwężonej formie życzenia rodziców dawane dziecku na całe życie. Odzwierciedlają się więc w nich ideały naszych przodków, które potomkom miały przyświecać i w nich się urzeczywistnić. Pierwsze wśród nich miejsce zajmowała sława w różnych dziedzinach zbiorowego życia, stąd tyle imion, których ten właśnie wyraz jest częścią składową, w naszym materiale prócz Bolesława Ludzysława, Mirosława, Przedслава, Radosława, Sławomira, Sulisława, Wojsława. Pobożność znalazła wyraz w imionach Bogdan, Boguchwał, Bogumił, Modlibóg. O obowiązku gościnności mówi imię Gościrać, żądza miłości gromady odbija się w imionach Wszemir, Wszerad i Świeciech, czyli Wszeciech. Że wiele uwagi przykładano do dobrych stosunków rodzinnych, wnosić wolno z imion Miłobrat, Miłostryj, Siestrzewit. Imiona przytoczone nie

wyczerpują zasobu odpowiednich imion starośląskich. Było ich o wiele więcej i dopiero ich wydobyć ze wszystkich śląskich średniowiecznych źródeł historycznych dałoby pełny obraz, przyczyniając się wydatnie do pogłębienia znajomości życia duchowego rdzennych, polskich mieszkańców dawnego Śląska.

Imiona dwuczłonowe przez swoją długość i niejako oficjalny charakter niezbyt się nadawały do użycia na codzień, w kręgu rodziny, czy przyjaciół. Skracano je więc chętnie w najróżnorodniejszy sposób i tymi formami skróconymi a pieszczotliwymi zarazem zastępowano pełne imiona dwuczłonowe. Niejednokrotnie tylko nimi się posługiwano, o formie dwuczłonowej zapominając zupełnie, czego wspomniany już Mieszko doskonałym jest przykładem. Także i w rozpatrywanych przez nas dokumentach śląskich większość nazwanych w nich Ślązaków zanotowano w pieszczotliwej postaci imiennej. Stąd wcale obfity zbiór form takich, jak Chwałęta, Cieszęta, Dobrzęta i Siedlęta; Ciechost, Miłost i Radost; Budek, Godek, Gostek, Jarek, Miłek, Witek, Wojek i Wrotek; Siedlik i Sławik; Radzim i Sulim; Godzien, Sulen i Wojen; Dobruj, Raduj i Sułuj; Borzech, Gościech i Mirzech; Braciesz, Godziesz, Grodziesz i Milesz; Lutosz, Mysłosz, Radosz i Świętosz; Budzisz, Chwalisz, Godzisz, Prosisz, Stanis, Sulisz i Wieścisz itd.

Osobną, od dwu poprzednich wyraźnie się odcinającą grupę stanowią imiona, a raczej nazwy osobowe, określające jednym wyrazem

Spacer łodzią motorową na tamie wodnej w uroczej okolicy Jeleniej Góry.





Karkonosze: Karpacz — miejscowość klimatyczna i sportów zimowych.

właściwości wewnętrzne lub zewnętrzne człowieka. Wskazują na nie w pierwszym rzędzie nazwy w rodzaju Krotosza = łagodny, Rzewnisz = czuły, Swarzysz = swarliwy, Pyskosz = pyskаты, Matoł = niedorozwinięty, Krępisza = krępy, Kędzierza = kędzierzawy, Krzepisza = krzepki, Bielec = biały, Ogorzała = ciemny, opalony. Imiona te wprost charakteryzują ich nosicieli. Niekiedy jednak odmienny stosowano sposób nazywania ludzi na podstawie rzucającej się w oczy takiej czy innej ich cechy. Czyniono to w ten sposób, iż nazwy części ciała, nazwy zwierząt, roślin lub martwych przedmiotów, z którymi ich pewne podobieństwo łączyło, na nich w różnych okresach życia przenoszono. O ile się przyjęły, stawały się imieniem, które wówczas już do śmierci towarzyszyło człowiekowi. Tak było na całym świecie, tak w całej Polsce, a więc i na Śląsku.

Tym się też tłumaczy, iż wśród dwunastowiecznych Ślązaków znajdujemy zwanych się Gęba lub Czoło; Chrobab, Komor = komar, Kosek, Kotek, Nietopyrz, Okuń, Skowroniec, Szczurek, Zajączek, Żóraw lub Żuk i Kwiatek; Głownia, Krobka = pudełko z drzewa lub łyka, Krupa lub Trąbka.

Takie oto imiona nosili Ślązacy lat temu blisko 800 w różnych okolicach Śląska. Imiona chrześcijańskie, przeważnie hebrajskiego, greckiego i łacińskiego pochodzenia, ale też i imiona niemieckie, jeszcze z rzadka w ludność śląską przenikają. Przejmowane dobrowolnie, lub narzucane z góry polszcżą się przecież zewnętrznie w ustach śląskiego ludu, przybierają polską szatę głosową. Współżyjąc z imionami rodzimymi, ulegają ich wpływom, przystosowują się do nich niekiedy nawet w budowie, w ten sam sposób, co tamte, tworząc formy zdrobniałe, czy pieszczotliwe, dość wspomnieć z wymienionych już wyżej postaci Janek, Ławrzysz, Pawlik i Pietrzej. Nie w tym stopniu, co imiona rdzennie polskie, są i one przecież dowodem, że polska była ludność, która ich używała.

Z cyklu: Spotkania Wrocławskie / Tadeusz Mikulski

Nocą po Wrocławiu.

Literatura zawarła dawno przymierze z geografją. Zbyt wiele podnieć wyobraźni, zbyt cenny materiał literacki zawdzięczała zawsze — podróżom. Pod tym względem najbogatsza była chyba epoka dyliżansu. Pisarz siedział wygodnie w kącie pocztowego wozu, słuchał rozmów i opowiadań podróżnych, patrzył na świat, ujęty w kwadraty małych okienek. Czytajcie Dickensa lub Balzaca, jest to literatura dyliżansu. Czym jest romans? — pytał wówczas Stendhal. Jest to zwierciadło, które wędruje gościńcem.

Niebawem jednak, w połowie w. XIX, zaszła w tych stosunkach wielka rewolucja. Wprowadziła ją kolej żelazna. Dyliżanse przeloczone do muzealnych wozowni, w których można je oglądać do dzisiaj. Europę zaś objęła sieć dróg żelaznych, nowego układu podróży. Pisarz tamtej epoki musiał przesiadać się co żywo z wygodnej landary do wagonu, do „taboru”, jak mówił. Miłą powolność ruchu zamieniał wówczas na pęd pokonywanej śpiesznie przestrzeni. O czym myślał nowy turysta? Prostaczek zęgnął się nabożnie, jak w znanej kresowej anegdocie, i szedł do spowiedzi przy pierwszej okazji. Były to bowiem sztuczki diabelskie. Ale człowiek, świadomy dokonanego postępu, przeżywał taką podróż w sposób zawiły i z wielką ciekawością.

Wincenty Pol, redaktor miesięcznika „Biblioteka zakładu imienia Ossolińskich”, ruszał w r. 1847 do wód śląskich w Cieplicach. Wówczas mówiło się inaczej: do Warmbrunu. Lato już zdołało się przesilić, była połowa sierpnia, lub mało co wcześniej. Etap początkowy podróży, Lwów — Kraków, nie okazał się zbyt atrakcyjny:

... przy powolnej jeździe ciężkiego powozu wolno ubywa drogi.

Wśród turkotów na obcych mostach, patrząc na nieznane pejzaże, poeta dotarł do Gliwic. Tu dopiero czekała go odmiana: z Gliwic do Wrocławia jechało się od r. 1844 koleją. Wincenty Pol, zamiłowany podróżnik, nie był nowicjuszem w tym turystycznym hazardzie. Już „przed kilku laty” jechał po raz pierwszy „żelazną koleją”. Miał poza sobą emocje najsilniejsze. Teraz, nałogiem epoki, mógł oddać się refleksji filozoficznej. Ale „było w towarzystwie kilka osób, które jeszcze nie znały tej jazdy”. Wśród nich właśnie Pol, stary bywalec, perorował, ile się dało. Po czym, we Wrocławiu chyba, wziął za pióro, aby żonie, Kornelii z Olshewskich, opisać podróż i cały jej ładunek myślowy. List był tylko częściowo do familijnego użytku: ukazał się niebawem w druku, w jednym zeszytów „Biblioteki Ossolińskich”. Czytamy go więc dzisiaj, bez uczucia niedyskrecji historycznej.

W Gliwicach gromada hreczkosiejów wsiadła do pociągu. Pol wśród nich, wesół, odważny, przypomina sobie wakacyjne przyjazdy. „Czterdzieści kilka wagonów składało tą razą tabór.” Droga, jak dzisiaj, wiodła przez Koźle i Opole, doliną Odry, do Wrocławia. Można by mówić: droga Wincen-

tego Pola. Tego samego dnia jeszcze, z dobrymi przyjaciółmi, chciał zasiadać poeta do obiadu we Wrocławiu. Po dotychczasowych, zwolnionych etapach podróży, był to rekord niespodziewany. Myśl owa (myśl o obiedzie we Wrocławiu) „przejmowała serce jakąś dziecinna pociechą”.

O czym mówić „w przelocie taboru”? Panie oblegają okna, a poeta kręci węża, przewycięża niedawny w jego rodzie sarmatyzm i duma:

Zda mi się, iż nie oceniono dotąd dostatecznie tych korzyści, jakie daje podróż koleją żelazną pod względem poznania fizjognomii kraju i jego rzeźby geograficznej. Powszechnie słyszałem żalących się na to, że to piękne panorama widoków znika za prędko z przed oczu i że żadnego szczegółu oko w tym przelocie przedmiotów pochwylić nie zdoła.

Wówczas panie od okna: Jakież więc korzyści, Poeto?

Przyznaję, iż kto by się chciał z tej podróży uczyć geografii, ten się jej nie nauczy; kto jednakowoż długo śleczął po kartach i księgach, a na szczegółach utykał, nie umiejąc sobie z nich złożyć całości pewnej krainy i jej odrębnej fizjognomii, — kto ptakowi lotu zazdrościł, a powietrznemu żeglarzowi tego widoku na ziemię, jaki tylko z balonu mieć można, chcąc sobie utworzyć pewną całość: temu zastąpi panorama widoków na kolei żelaznej czynność fantazji, bo z nich utworzy się w duszy jego obraz zbiorowy kraju, za którym w duchu gonił na próżno.

Towarzystwo milknie, przekonane. I odtąd kontemplują już wszyscy „obraz zbiorowy kraju.” Pol patrzy na Śląsk — od Gliwic do Wrocławia — oczami geografa: spostrzega rzeźbę terenu, jego system wodny, zadrzewienie, „wszędzie było piękne, wsie gęsto nasiadłe, miasteczka budowne”. Jednak nierzadko historyk przysłania geografa.

Śląsk ma piękną przeszłość, którą odczytać można już nawet w przelocie taboru.

I redaktor „Biblioteki Ossolińskich” folguje przyrodzonej żylce antykwarycznej:

Wszędzie wznoszą się wieże piastowych ratuszów, wiekiem ogorzałe korony baszt starych zamki i klasztory po miastach, a po wsiach odwieczne gotyckie i bizantyńskie (?) kościołki.

Napatrzywszy się do syta na ten Śląsk, który „jest przedmową do Krakowa”, Pol zamyka się znowu w poważnej refleksji, czym jest nowy wynalazek w świecie ducha i materii:

Co za znaczenie mają żelazne koleje? — Czy łatwość przewozy? czy taniość przewozu? czy oszczędzenie czasu? — Nie, one zdają się mieć wyższe znaczenie w świecie umysłowym!

Nie przerywajmy mu tej zadumy, trwa przez kilka stronic druku. Bo już i góra Sobota „w błękitnym oddaleniu”; już i wieże starożytne Wrocławia. Wszyscy kwapią się do miasta, na obiad, oczekiwany od rana. Jeden Pol nie może przemóc ciekawości: chce popatrzeć raz jeszcze na lokomotywę.

Stoi długo przed stalową maszyną. Słyszymy, co mówi:

Tryumfalnie wygląda tabór, kiedy z miejsca wyrusza lub na stację przybywa...

Cóż to dopiero, gdy tabór nocą przelatuje kraje! Jakaż to mistyczna ciemność okrywa wszystko dokoła i jakim dziwnym niepokojem bije tysiące tych serc, niesionych w tajemniczą dal! Jedna linia chybiona i jeden cał zboczenia, jedna grudka żwiru na kolei, a cały tabór leży w przepaści!

Tu bierze górę nad uczonym gawędziarz szlachecki i Pol przemawia, jak jego postacie, wywiedzione z mroków saskiej epoki, niemal słowami Benedykta Winnickiego:

Jak smocze oczy świecą w ciemności dwie krwawe latarnie na przodzie u parowego wozu — ognista miotła iskieł grozi, jak ogon szalonego komety górą, a palący trzon ogniska oświeca spodem drogę przed taborem na znacznej przestrzeni i sypie węglem jarzącym — zda się, iż cały tabór piekła w gardło leci, a po przykrym gwiżdżeniu parowej puszczalki i po odorze siarczystym, który zalatuje czasem, przypomina się dziwnie niemiło, jeżeli nie już diabeł staropolski, to przynajmniej Mefistofel Getego.

Dosyć strasznych obrazów! Dzień sierpniowy jest krótki. Nie tylko poezja, Kochany Wincenty, Pol odchodzi wolno od parowozu, w oparach siarki i ciemnej myśli.

Wrocław przeżył dopiero w nocy. Należało najpierw precyzować się przez tłum podróżnych, którzy wysypali na dworzec Dolnośląski z czterdziestu kilku wagonów. Była ich wielka ciżba. Idąc na obiad i w poszukiwaniu noclegu, można było rzucić zaledwie okiem na prawo i lewo. Wokół dworca „zajazdy wygodne”, ale towarzystwo śpieszy do centrum. Pol patrzy przelotnie na rozbudowę przedmieść, które przekroczyły fosy starego miasta. Podziwia ich plan, architekturę, przetkaną zielenią, szerokość ulic i rozległość placów. Jest to zarys ogólny, niepodobna błędzić długo pod wieczór. Oto śródmieście. Pol wyczuwa od razu zasadniczą odmienność stylów. To dawne formy budownictwa, ocalałe w kamieniu.

... tutaj zda się, że czas nic nie zmienił. Każden kościół, każden dom da się odnieść do pewnego okresu przeszłości, do pewnego stylu w architekturze, i dziwnie zajmującym jest ten kontrast przedmieść do samego miasta, ten kontrast nowszych pomysłów tegoczesnych w architekturze do jej odwiecznych pomników w historii.

Poczyna szarzeć. Jest zupełnie ciepło, „niebo wypogodziło się na długo”. Połowi starczyło tej przechadzki, by pochwycić i utrwalić w notatniku charakterystykę urbanistyczną nieznanego miasta.

Już późnym wieczorem udało się poecie nakłonić towarzyszy, aby wyjść razem na Wrocław. Był to jego dawny nałóg: nocna wędrówka po mieście. Ileż anegdot pozostało w pamięci przyjaciół z tych wspólnych spacerów o północy. Kiedy schodzili raz z wycieczki na Wysoki Zamek we Lwowie — Pol, Karol Szajnocha i Józef Dzierzkowski — powzięli nad ranem myśl niezwykłą: gonitwy

o zakład, od góry zamkowej do arcybiskupiego pałacu. Zasapany przybieżał pierwszy Dzierzkowski. Kiedy indziej, ci sami: Pol i Dzierzkowski, „o północy, przy blasku księżyca, jak duchy z niemieckiej ballady”, tańczyli we Lwowie (czy tak zupełnie po trzeźwemu?) stylowego menueta. Ze zdumieniem spoglądali na te płasy Kornel Ujejski i Szajnocha. Pol lubił klimat nocy, jej spokój i ciszę, której działaniu umiał się poddawać. Gdy opuszczało go rezonerstwo, uprawiane za dnia, zostawała już tylko poezja. Pol z nastroju wieczoru wywoływał ją umiejętnie, łącząc prawdę ze sztuką.

Noc była miesięczna, cicha i ciepła, a do późna chodziliśmy po mieście.

Księżyc rzucał srebro na wrocławskie place. Polonus z sumiastym wąsem brodził godzinami w tym niebieskim świetle, zapatrzonego w pejzaż gotycki. Oto ratusz „w środku starego rynku”. Poeta stał długo przed budowlą, kontemplując ją po nocy. W notatniku podróży położył swoją wizję, jakby opisywał sztylet Rembrandta:

Jakże prześlicznie odrzynały się na nocnym niebie zarysy tej ciemnej, wiekiem ogorzałej budowli! Jakże mistycznie wyglądały ostre cienie pojedynczych załomów wieżyczek i misternych koronek gotyckich przy pręgach miesięcznego światła, które rąbkiem bramowało gzymsy, rzeźby i koronki, zostawiając domyślności serca wykończenie reszty niewyraźnych konturów, niknących w ciemności! Jak na domiar jeszcze jest cała jedna strona ratusza dzikim winem opięta, które dochodzi aż do gzymsów górnych i zwiesza się stamtąd znowu w lotnych ruchomych girlandach ku ziemi.

W tej poźółkłej impresji, która liczy sobie stulecie, jest jednak smak historyczny szczególny. Bo patrzymy: gotyk, skąpany przez księżyc, w oczach romantycznego poety. Podobnie harmonijnego obrazu, który nie jest fikcją, lecz rzeczywistością, nie zna bodaj literatura. Jest to synteza tamtego stylu, żywa, doskonała.

Same kroki zawiodły Pola, kiedy błędził „nocą, bez planu”, na plac sąsiedni. Poznajemy ów plac od razu: to Targ Solny:

... po środku którego czerniał się jakiś posąg brązowy, wysoko wzniesiony, — cień jego przeciągnął się ciemnym, długim słupem po bruku...

I w tej właśnie chwili, poetyckiego deformowania rzeczywistości, dość niespodzianie przemówiła do autora „Pieśni Janusza” historia. Historia jednak pojmowana szczególnie: jako kształt, jako plastyka. Następuje wywód o odmiennym widzeniu pomnika w dzień, gdy wokół niego szumi ulica, i w nocy. Pol zapatrzył się w teatralną dekorację, już po raz drugi tego wieczora.

Ukośny promień miesiąca oświecił w tej chwili jasnością swoją czoło Blüchera i tchnął życie w posąg spiżowy. Postać jego obrzucona płaszczem, szablą wznoszącą się do cięcia... zdało mi się, iż duchy pobojuwiska krążą w mgłę nocnej ponad głową jego.

Ową chwilę przelotnej refleksji pod pomnikiem Blüchera (wzniesiony w r. 1827, przez Raucha) okupił Pol już nazajutrz bardzo ciekawą uwagą,

jak dokładnie historia Śląska zamknęła się w dobie „Piastów młodszych”. Wszystko, co przyszło później, była to tylko „próżnia kilku wieków”.

Nazajutrz bowiem obudził się Pol, jako — uczony. Nastrój poetycki opuścił go w pełnym słońcu. Patrzymy z podziwem, jak przebiega miasto, szukając ludzi uniwersytetu. Nieszczęściem R. Roepell, specjalizujący się w polskiej historii, spędza wakacje poza Wrocławiem. Pol jednak dociera do jego współpracowników. Informuje się starannie, jak działają we Wrocławiu towarzystwa historyczne, ile też uwagi poświęcają sprawom polskim. Pol przeziiera z ciekawością wydawnictwa, kartkuje źródła ogłoszone drukiem, zabiega o komplety czasopism naukowych dla Ossolineum, W tym entuzjastycznie wiedzę szaleje dziś antykwarz, kolekcjoner osobliwości. Nie opuści Wrocławia, aż nie rozgada się należycie z Czechem, drem Janem Purkyne, profesorem fizjologii, założycielem Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego i swoim korespondentem z przed kilku miesięcy. Przebiega niezmordowanie gmachy uniwersytetu, jego zakłady, instytuty, obserwatorium (pod prof. Bogusławskim), ogród botaniczny, gdzie jednak został „bardzo w nadziejach... zawiedziony”. Jest to już wyraźnie wojaż naukowy, a mianowicie „pod względem nauk przyrodzonych”. Po nocy księżycowej ochłoniął do cna.

I prawdopodobnie teraz dopiero przypomina sobie cel główny: ma otworzyć „drogi księgarskie” dla nakładów Ossolineum, także dla własnego czasopisma, zyskać księgarzy wrocławskich dla pośrednictwa w sprawach książki. Wpada podniecony do Hirta, do Schlettera, najpoważniejszych domów wydawniczych w mieście. Przebiega półki i witryny, zdumiewa się bogactwem książek polskich. Skąd ich aż tyle?

Mnóstwo nowych i pięknych rzeczy, mnóstwo przedruków i nakładów świeżych, których nie znamy jeszcze. A to najdziwniejsza, że te same książki polskie, sprowadzane z Lipska, są tu daleko tańsze od tych, które nas wprost (we Lwowie) dochodzą z Warszawy, z Poznania, z Wilna, z Krakowa.

W jednej księgarni, nieoznaczonej z nazwiska, jest świadkiem pysznej sceny: gorliwy katolik i postępowy protestant, rozgrzani, z wypiekami na twarzach, wadzą się o prawdy chrześcijańskie. Spór jest tak żywy, że błędną przy nim dialogi Orzechowskiego, papieżnika z ewangelikiem. Któż go rozstrzygnie? Protestant szuka wokół autorytetu. Na Pola spogląda krótką chwilę. Poeta, choć i w surducie, ma minę kontuszwowca w palonych butach.

— Każdy z waszego narodu jest dziś gorliwym papistą, chociażby nawet w Boga nie wierzył.

Pol nie znajduje czasu na ripostę, bo adwersarz chrześcijaństwa zwraca się do młodego człowieka na stronie.

Ten skłonił się z pewnym rodzajem pokory i rzekł: — Mnie nie jest wolno rozstrzygać tego sporu, bo ja jestem zakonu Mojżesza.

Czy w tych wędrowkach księgarskich ominął wojażer dom Korna? Wznosił się nieopodal, na rynku. Pol przed rokiem wydał tutaj, staraniem przyja-

cielskim, tom prozy „Obrazy z życia i podróży” (Wrocław, Korn, 1846). Dlaczego przemilczał w notatniku odwiedzin u swego wydawcy? Czyż tak dokładnie, z miłości dla nauki, zacierał teraz ślady po własnej poezji? Wincenty Pol na progu Kornowskiej księgarni — wiele byśmy dali, by posiadać podobny dokument.

Gdy przechodził ulicami miasta, wykrywając w klimacie Wrocławia „wpływ miejscowej historyczności”, uderzała go nie tylko książka polska za szybami niemieckich księgarzy. Zewsząd biła ku niemu — polska mowa.

Jeszcze na żelaznej kolei poczęli wszyscy z nami jadący Ślązacy mówić po polsku, poznawszy w nas Polaków, lubo poprzednio mówili po niemiecku między sobą.

Oto dwu oficerów pruskich, o nazwiskach nieprawdopodobnych: Błędowski i Bogusławski. Skądże, Waszmościowie? Nie do wiary: i jeden i drugi mieli za dziadów barskich konfederatów, którzy po klęsce osiedli na Śląsku. „Hej, hej, Pani Barska...” nie napróżno melancholizował Aleksander Fredro.

Jakieś dziwy z tą polszczyzną w mieście niemieckim, w którym stoi patetyczny pomnik Blüchera! Pol, rozpoznawany natychmiast jako przybysz z Rzeczypospolitej, zdumiewa się nad żywym źródłem mowy polskiej, która podskórnie tryska we Wrocławiu.

... rzadki dorożkarz, który by nie mówił po polsku, gdy pozna, że wiezie Polaka — służba w oberżach i kupczyki po magazynach poznali nas na pierwszy rzut oka...

Nie znajdziecie wspanialszej sceny: Do Wincetego Pola obraca się z kozła wrocławski dorożkarz, cały rozjaśniony od polszczyzny. Bławatni, koźrenni kupcy, gdy obsługują go po polsku, nie domyślają się nawet, któż to kiwa im przyjaźnie ręką. Obserwacji i spotkań podobnych jest tyle, że Pol nie waha się napisać:

... i wszędzie znajdzie się przynajmniej choć jeden człowiek w domowym lub handlowym składzie, co mówi dobrze po polsku — wszystkie napisy na sklepach są w dwóch językach pisane, nawet, Niemcy, właściciele majątków wiejskich, posiadający dobra w okolicach, gdzie ludność miejscowa mówi po polsku, uczą się tutaj z potrzeby języka ludu...

Niepodobna zobaczyć więcej w ciągu dni kilku. Pol ma dosyć włóczęgi po Wrocławiu, musiała go zmęczyć, co się zowie. W parę tygodni później (10. X.) napisze z Berlina do żony:

„W całej podróży byłem moralnie i fizycznie cierpiącym”. Czas mu do wód do Warmbrunu. Gdy ostatnim spojrzeniem ogarnął rynek i fasadę starego ratusza, dostrzegł pomnik, dotychczas przeoczony, Fryderyka II (świeżej daty, z r. 1842, posąg konny, według projektu Kissa). Pol zbliżył się do niego z niechęcią. Patrzył koso na króla, przychylniej na rumaka.

... i zabawny bardzo Anglik, który był razem z nami, zapewniał nas, ... że dał by tysiąc funtów sterlingów za takiego konia, gdyby był żywy.



U podnóża Karkonoszy

Pola w końcu porwał złość na Fryderyka w prawdziwym mieście „Piastów młodszych”. Tylko wzgląd na austriackiego cenzora, który czytywał skrupulatnie „Bibliotekę Ossolińskich”, sprawił, że poeta nie wybuchnął w druku. Ale posłużył się doskonałą ironią, dotkliwym, celnym słowem, którym wypłazował posąg, jak szabliskiem. Bowiem pomnik Kissa, choć pozornie realistyczny, uprawiał wyraźnie przemysł pruskiej ideologii. Pol długo gryzł pióro, zanim napisał:

Lubię te dzieła sztuki, do których gruntownego pojęcia potrzeba zaraz profesora i kilku grubych tomów komentarza! Komentarz obiecano nam przesłać, a profesor znalazł się na miejscu i wkładał nam wśród wrzawy przekupek, które patriarchalnie obsiadły posąg dokoła, sprzedając owoce, wielkie pomysły twórcy tego pomnika, który w każdym zagięciu, w każdym fałdzie płaszcza, umiał ukryć jakiś historyczny hieroglif. Nie dziwiliśmy się zupełnie temu, bo w istocie zmieściło by się wiele w fałdy tego płaszcza!

Po Wrocławiu odetchnął dopiero w Cieplicach. Wypoczynek trwał do pierwszych dni września, ledwie parę tygodni. Ale poeta regenerował się szybko. Pociągnęły go odrazu Sudety: „w tym pięknym gabinecie natury” prostował znużoną myśl i pochyłe plecy. Nadjechał z Wrocławia dr Purkyne z synami, wiązała go z Polem coraz bliższa zażyłość. Za nim przybyli inni profesorowie, i także „towarzystwo dam bardzo wykształconych”. Napatrzwszy się gór i ludzi, koło 10 września, był już Pol we Wrocławiu powtórnie. Ale tylko na krótką chwilę. Nazajutrz, 11 września, panna Zofia Skrzyńska podała mu z wdzięcznym dygiem sztabuch dziewczęcy, do którego poeta wpisał się z pewnym roztargnieniem. Już nie uważał na miasto. Miał ambitniejsze plany. W parę dni później wyprawił się przez Poznań i Berlin — na wyspę Rugię!

Szkic oparty na listach Wincentego Pola „Z wycieczki na Szląsk w roku 1847”, ogłoszonych w „Bibliotece naukowego zakładu imienia Ossolińskich”, 1847 i w odbitce. Przedruk dostępny w *Dziłach Wincentego Pola* wierszem i prozą. T. 10. Lwów 1878, s. 170—203. Dla celów interpretacji tekstów Pola autor korzystał z monografii Maurycego Manna: *Wincenty Pol. Studium biograficzno-krytyczne*. T. 1—2. Kraków 1904—6.

Troski Wrocławia / Dr. M. Łach

Dziwne jest to miasto, ten Wrocław. Rozsiadł się nad rzeką Odrą, której bieg w obrębie miasta ma 26 km długości. Poza Odrą są kanały i kanaliki. Jest nad to Bystrzyca, Ola i Wierzbica. Dziwne to miasto składa się z szeregu grup, które na pierwszy rzut oka wydają się niepowiązane — luźne. Wystarczy spojrzeć na plan miasta, by zauważyć, że Swojecz, Osobowice, Karłowice — to jeden świat, a Piłczyce i Leśnica to znów inny świat. Jest zaś tych dzielnic dużo i mimo, że wydają się osobnymi grupami stanowią jedno miasto. Już samo takie



Dr. Maciej Łach,
Dyrektor Zarządu
Miejskiego
we Wrocławiu

rozcłonkowanie miasta następuje jego administracji szereg trudności. Cóż dopiero mówić, gdy rzucimy okiem na plan, obrazujący stopień zniszczenia miasta? Widać wtedy, jak wojna rozbiła miasto na nowe części. A każda część — to jednostka prawie że odrębna, bardzo często o zupełnie innym przeznaczeniu. Mamy więc dzielnice czysto fabryczne i czysto rolnicze, handlowe i mieszkalne. Na około 18.000 ha powierzchni miasta przypada na pola orne, lasy i pastwiska około 10.000 ha; a jest to miasto, które przed wojną miało około 19.000 budynków fabrycznych!

Jasnym jest, że w mieście takim administracja ma kłopotów i trosk co niemiara. Nawet, gdy miasto jest całe i niezniszczone, nawet i wtedy, gdy życie płynie normalnym trybem, gdy nie ma repatriacji i nowozagospodarowania.

O ileż więcej trosk mają dziś wrocławscy ojcowie miasta!

Rozbity tramwaj, popalone autobusy. Linie napowietrzne poprzerywane. Sieć telefoniczna, przewody elektryczne, gazowe i wodne rurociągi zniszczone na skutek bombardowania. Barki potopione, ulice porozbijane lub zabarykadowane i zasypane gruzem, fabryki i domy mieszkalne spalone lub zombardowane w 65%.

Oto dziedzictwo objęte w dniu 10 maja 1945 przez polski zarząd miejski.

Żadnych aktów, urzędzeń biurowych, inwentarzy.

Ludność: 200.000 Niemców, przy garstce Polaków. Reszta ludności wyjechała i dzięki Bogu nie wró-

ciła. Nie miałyby zresztą miejsca. 730 000 przedwojennych mieszkańców nie mógłby zniszczony Wrocław absolutnie pomieścić.

Niemąło trosk — niemało.

Aby choć w części je pokonać trzeba stworzyć plan działania i znaleźć środki na jego realizację.

Najważniejsze zagadnienia wyliczę kolejno.

Punkt pierwszy: Repolonizacja i wiążąca się z tym sprawa mieszkaniowa.

Jest już we Wrocławiu ponad 100.000 Polaków. Aby ich pomieścić przeprowadzono na szeroką skalę pomyślany remont mniej zniszczonych domów. Sklepy remontowali na własny koszt reflektujący na ich użytkowanie. To samo odnosi się do warsztatów rzemieślniczych. Budynki na pomieszczenie władz i urzędów wyremontowane zostały częścią nakładem właściwych władz, częścią przy pomocy kredytów udzielonych przez Ministerstwo Odbudowy.

Sam remont mniej uszkodzonych domów nie dostarczyłby dostatecznej ilości potrzebnych pomieszczeń mieszkalnych. To też zastosowano jeszcze dwie metody w celu uzyskania wolnych pomieszczeń. Pierwszato repatriacja Niemców do Rzeszy, a druga to „ścieśnianie” Niemców. Dzięki repatriacji Niemców, przeprowadzonej obecnie już po raz trzeci, liczba ich we Wrocławiu zmniejszyła się do około 70.000 osób. Pierwsza repatriacja rozpoczęła się jeszcze w lipcu ubiegłego roku. Odbывała się autobusami i obejmowała wyłącznie „ochotników”, zgłaszających z różnych powodów chęć wyjazdu. Trudności nie robiono żadnych, wyjąwszy ograniczenie wielkości bagażu.

Druga faza nastąpiła we wrześniu 1945 r. Wyjeżdżali nie tylko ochotnicy, ale repatriowano przymusowo osoby, u nas niepotrzebne lub szkodliwe; wyjeżdżający w tej fazie skierowani byli do sfery okupacyjnej radzieckiej.

Ostatnia faza repatriacji dokonywana jest na zasadzie umowy poczdamskiej. Repatrianci — Niemcy udają się do strefy okupacyjnej brytyjskiej. Wysiedlanie obejmuje w pierwszej linii osoby niepracujące, stopniowo jednak zostaną wysiedleni wszyscy Niemcy.

Mieszkania po Niemcach zabezpiecza się i natychmiast oddaje się wraz z urządzeniem w użytkowanie Polakom.

„Ścieśnianie” polega na tym, że Niemcom przydziela się mniejsze mieszkania od tych, które posiadali, tak, że w jednym mieszkaniu mieszka obecnie często 2—3 rodzin. Dało to dość znaczną ilość izb mieszkalnych do dyspozycji Polakom. Nie wystarcza to jednak. Napływ repatriantów jest coraz silniejszy, wskutek czego daje się odczuwać dotkliwy brak mieszkań. Jest jednak nadzieja, że i to zagadnienie zostanie w bieżącym roku rozwiązane, a właściwie musi być rozwiązane. Napływu repatriantów nie można wstrzymać. Wszak rozwijające się fabryki muszą mieć robotników, zakłady naukowe profesorów itd.

To też Zarząd Miasta i Dyrekcja Odbudowy przygotowały plan odbudowy w b. r. domów mieszkal-

nych, zniszczonych do 20 %. To da możliwość pomieszczenia większej ilości osób. Spodziewać się należy, że pod koniec roku Wrocław będzie mógł pomieścić do 300.000 osób. Jest to cyfra która musi być osiągnięta. Na cele te przeznaczają się w b. roku około 90 milionów zł. kredytu.

Obok zagadnienia mieszkaniowego wybija się dziś zagadnienie aprowizacji na plan pierwszy.

Jak wyżej wspominałem ziemi ornej, lasów itp. jest na terenie miasta około 10.000 ha, w tym grunta uprawne wynoszą około 7.000 ha. Biorąc dalej pod uwagę 12.000 ogródków działkowych, oraz fakt, że Wrocław jest stolicą kraju raczej rolniczego wydawałoby się, że aprowizacja miasta nie powinna przedstawiać trudności.

A jednak jest inaczej. Na razie nie może Wrocław korzystać z bezpośredniego sąsiedztwa obszaru rolniczego. Rok ubiegły to jeszcze rok wojny. Zasiewów wiosennych nie dokonano wcale. Zbiory ozimin musiały pójść na żywienie armii. Jesienią nie udało się obsiać całego arealu ziemi, tak dla braku ludzi, jak i inwentarza żywego i martwego. Duże przestrzenie pól ornych były zaminowane.

To też bieżąca wiosna postawiła przed władzami ciężkie zadania. Należało możliwie wielki obszar ziemi obsiać i obsadzić, by zabezpieczyć ludności wyżywienie na rok 1946/47. Jeśli chodzi o Wrocław to w ciągu zimy osadzono prawie na wszystkich gospodarstwach osadników rolnych i zaopatrzone w minimum inwentarza. Ponieważ dostarczona przez państwo ilość ziarna siewnego nie wystarczała na obsianie całego obszaru, Zarząd Miejski zakupił we własnym zakresie zboże siewne i ziemniaki i przydzielił je osadnikom dla zagospodarowania otrzymanych gospodarstw.

Dołożono wszelkich starań, aby ogródki działkowe i ogródki koło rozbitych domów nie leżały odłogiem.

Da to możliwość uniezależnienia się od przywozu artykułów żywnościowych z innych dzielnic państwa.

Elektrownia miejska, jakkolwiek dźwignięta już z gruzów i produkująca miesięcznie ponad 6.000.000 kWh energii, wymaga dalszych wielomilionowych wkładów.

W szczególności musi być doprowadzone do stanu normalnego oświetlenie miasta. Mniej niż 200 punktów oświetleniowych, czynnych obecnie na terenie miasta, to kropla wody w morzu potrzeb.

Ze względu na potrzeby gospodarcze projektuje się na bieżący rok takie naprawy, które pozwolą zwiększyć moc efektywną Elektrowni o 150 %. Zdolność wytwórcza zwiększy się z 70 milionów kWh na 200 milionów kWh rocznie.

Gazownia Miejska we Wrocławiu w chwili objęcia przez władze polskie była zniszczona w 60 %. Dzięki ofiarnej pracy robotnika i inżyniera polskiego już dnia 13. sierpnia 1945 r. oddano po raz pierwszy gaz na miasto. Dziś produkuje gazownia miesięcznie około 870 000 m³ gazu świetlnego, 200.000 m³ gazu generatorowego, 1.300.000 kg koksu i odpowiednią ilość produktów ubocznych.

Przewidywane jest udzielenie Gazowni kilkunastu milionowego kredytu na odbudowę zniszczonych rurociągów tak, że jest nadzieja, że jeszcze w bieżącym roku potrzeby mieszkańców miasta będą zaspokojone.

Miejskie Zakłady Komunikacyjne uruchomiły już tramwaje na trasie około 23,5 km i autobusy o długości trasy około 18,7 km. Budynki tramwajowe były zniszczone od 30—90 % warsztaty około 80 %, sieć górna zniszczona całkowicie, ocalało jedynie około 50 % słupów. Tory zostały stosunkowo mało zniszczone, bo jedynie w 10 %. Wagony tramwajowe zniszczone od 25 %—100 %.

Autobusy prawie bez wyjątku uszkodzone lub zniszczone.

Biorąc powyższe zniszczenia pod uwagę, musimy uznać olbrzymi wysiłek, jakim było uruchomienie komunikacji miejskiej na długości 25 %, długości przedwojennej trasy. Daje nam to obraz ile milionów zł. będzie trzeba, aby doprowadzić sieć tramwajową do normy poprzedniej. Utrudnia odbudowę sieci komunikacyjnej fakt, że całe ciągi ulic są zniszczone i bezludne. Krańce miasta są jednak zaludnione i te właśnie krańce potrzebują najbardziej połączenia ze śródmieściem. Olbrzymie koszty na przeprowadzenie linii tramwajowych przez bezludne dzielnice nie rokuje rentowności pewnych linii. To też rozważa się i szuka innego wyjścia z tej trudnej sytuacji.

Poza siecią tramwajową i autobusową poważne troski budzi stan dróg na terenie miasta. Te arterie komunikacyjne uległy bardzo silnym zniszczeniom wojennym. Odbudowę i usunięcie wszystkich szkód planuje się wykonać w ciągu lat. Na rok bieżący przewidziano wykonanie 9.800 m² nowych bruków, 2.000 m² chodników i odbudowę 14 mostów.

Ile milionów będzie to kosztowało?

Przedwojenna sieć wodociągowa we Wrocławiu miała 815 km długości, tereny ujęć zajmowały ponad 1500 ha, liczne stacje pomp porzucane były do 15 km od centrum miasta.

Zakłady wodociągowe zostały przez wojnę bardzo silnie zniszczone. To samo dotyczy rurociągów, rozbitych tysiącami bomb.

Jednak w ciągu jednego roku oddano do użytku 272 km rurociągów i dołączono do sieci 4950 domów mieszkalnych, dostarczając miesięcznie około 770.000 m³ wody.

Aby doprowadzić zakłady wodociągowe do produkcji przedwojennej trzeba setki jeszcze milionów. Na rok bieżący przewidziane są prace, aby doprowadzić wodę do dzielnic zachodnich i południowych miasta.

Kanalizacja miasta (sieć kanałów ulicznych ma 635 km długości!) również nie wyszła z wojny bez szwanku. Nie mniej niż w 750 punktach została ona uszkodzona bombami. Usunięto najbardziej dotkliwe braki, niemniej jest jeszcze tyle palących prac, do natychmiastowego wykonania, że na rok bieżący prelinowano na samą naprawę sieci 16 milionów zł., jako bezwzględnie konieczny kredyt.

Jadąc dziś ulicami Wrocławia widzimy jeszcze leżący na chodnikach i brukach gruz z rozbitych kamienic pochodzący. Przed rokiem było go około 8.000.000 m³! W ciągu roku wywieziono go około 600.000 m. Był to wysiłek olbrzymi i możliwy jedynie na skutek użycia dużej ilości niemieckich sił roboczych. Jest rzeczą więcej niż wątpliwą czy w następnych latach tempo to zostanie utrzymane.

I znów potrzebne są miliony — miliony.

Naszkiecowałem najważniejsze problemy wrocławskie. Nie wyczerpuję jednak całości zagadnienia. Poza poruszonymi jest wiele jeszcze bardzo ważnych zagadnień. Wystarczy wymienić konieczność odbudowy budynków szkół akademickich, średnich i powszechnych. Szereg fabryk został tylko częściowo odbudowany itd. itd.

Pracy jest jeszcze na kilka dobrych lat — a sumy potrzebne na całkowitą odbudowę Wrocławia idą w miliardy.

O polskiej myśli historycznej i historykach polskich na Śląsku / *Karol Maleczyński*

Od pierwszych chwil przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę weszła ona w obręb kultury łacińskiej zachodniej, a wraz z nią odczuwać zaczęła potrzebę spisywania swych dziejów. Od końca też X w. pochodzą pierwsze polskie próby historiografii, od roczników, ksiąg zmarłych, kalendarzy, spisywanych rękami duchownych niemieckich początkowo, a później coraz częściej polskich. Od cudzoziemca Galla, poprzez mistrza Wincentego, Janka z Czarnkowa, później Długosza, Kromera, Pawła Piaseckiego, Naruszewicza, Lelewela, Kalinkę, Szujskiego, wreszcie T. Wojciechowskiego, Kutrzebę i O. Balzera rozwija się śmiało i niezależnie od zagranicy nauka historyczna polska, aby w ostatnim półwieczu rozkwitnąć bujnym drzewem polskiej myśli historycznej, mogącej na niejednym polu śmiało rywalizować z zachodnią.

Utarło się pod wpływem tendencyjnej nauki niemieckiej i w polskiej opinii przekonanie, że w tym rozwoju historiografii polskiej na przestrzeni bez mała dziś tysiąca lat, Śląsk brał udział minimalny. Narażony w zaraniu swych dziejów (w latach 1039—50) na niszczące skutki okupacji czeskiej, która zniszczyła pierwociny jego dziejopisarstwa, od pierwszej połowy XIII w. stojący pod coraz silniejszym wpływem etnicznym, ekonomicznym i kulturalnym sąsiednich Niemiec, kolonizujących wsi i miasta śląskie, zapelniających klasztory, niedopuszczających Polaków do stanowisk i urzędów, nie wziął Śląsk tego udziału w rozwoju nauki historycznej polskiej, co inne jej dzielnice, Małopolska, Wielkopolska, czy Mazowsze.

Czy jednak sąd taki jest słuszny? Niewątpliwie nie miał Śląsk swego Kadłubka, czy później Długosza, ale takie postacie zjawiają się raz na całe stulecia i są wyjątkami w całym narodzie. Ale nie mniej w granicach możliwości, pod ciężkim obuchem germanizacyjnej polityki niemieckiej, od Wacława Luksemburskiego do Hitlera, dawał Śląsk ze siebie co mógł, i historiografia polska na Śląsku, choć skromniejsza rozmiarami, bogactwem form literackich i starożytnością początków, przewyższa nieraz dzieła, pisane w Polsce centralnej.

Na samym prawie zaraniu dziejów Śląska,

w połowie XII w., kiedy jeszcze z samej Polski znamy zaledwie jeden rocznik, spisany przypuszczalnie ręką Polaka, Jana arcybiskupa gnieźnieńskiego, zjawia się utwór historyczny, coś pośredniego między historią a legendą, opis dziejów słynnego magnata śląskiego, Piotra Własta, oślepiętego przez księcia Władysława Wygnańca, wedle późniejszej tradycji spisany przez samego Włostowica (gesta Petriconis per se scripta). Byłby to pierwszy na terenie Polski pamiętnik, dziś niestety zaginiony, znany jednak jeszcze i wykorzystywany w początkach XVI w. we Wrocławiu.

Również i duchowieństwo śląskie, zwłaszcza zakonne, oddaje się dowolnie na przełomie XII/XIII w. pisaniu historii. W świeżo założonym klasztorze kamienieckim, zaludnionym zakonnikami z klasztoru P. Marii na Piasku we Wrocławiu, pisze w pierwszych latach XIII w., jakiś niebardzo uczony zakonnik, przypuszczalnie więc Polak, tzw. rocznik kamieniecki. Dzieło nieoryginalne, oparte na dawniejszych annałach, jakie autor miał pod ręką, ale dowodzące, że zainteresowania historyczne kwitły w tym klasztorze i że nasz zakonnik, jak umiał, je zaspokajał.

I jeszcze kilkadziesiąt lat minęło nim zjawiała się we Wrocławiu osobistość, sławna na całą ówczesną Europę, pół geograf i podróżnik, pół historyk, franciszkanin tamtejszy Benedykt Polak. Towarzysz wyśtańca papieskiego, Jana de Piano Carpino, który w r. 1245 udał się do stolicy wielkiego chana Mongołów, po powrocie swym do Europy, w Kolonii, opisał całą swą podróż, podając daty przybycia do poszczególnych miejscowości, zwiedzone kraje i poznane ludy, opisał wreszcie szczegółowo dwór chański w północnej Mongolii. Relacja jego była rozchwytywana współcześnie i jeszcze w XIV w. przepisywano ją skwapliwie w Wiedniu i Paryżu. Na starość przeniósł się jednak Benedykt z Wrocławia do Krakowa, tu został gwardianem franciszkanów i brał udział w badaniu cudów św. Stanisława w r. 1252.

Równocześnie zjawia się na Śląsku, z Opawy śląskiej pochodzący historyk, który swym dziełem miał swe imię i kraj rozślawić w całej Europie. Jest nim Marcin z Opawy, zwany

Polakiem, z rodu Strzemieńczyków, późniejszy nominat na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, prawnik i historyk-encyklopedysta; bywały na dworze papieskim, za namową papieża Klemensa IV napisał kronikę papieża i cesarzy, dzieło na owe czasy było owocem wielkiej erudycji autora. Ukończone w kilku redakcjach, z których jedna sięgała do r. 1277, było jednym z najpowszechniej w średniowieczu używanych kompendiów dla nauki historii powszechnej i zapewniło autorowi poczesne imię w dziejopisarstwie zagranicznym.

Ale fala niemiecka coraz na Śląsk uderzała. Niemcy obsadzali miasta, klasztory, najważniejsze urzędy i dostojności świeckie i duchowne, język niemiecki coraz silniej na Śląsku rozbrzmiewał. Coraz więcej Niemcy interesowali się dziejami kraju i dla Niemców przede wszystkim miały one być pisane. Ich też przeważnie autorstwa są anonimowe przeważnie współczesne żywoty świętych, roczniki, kroniki. Piszą jeszcze wstrzeźmiwie, nieraz w duchu dla Polski przychylnym, nieraz podkreślając odrębność Śląska od Czech i związek jego z Polską (np. autor Kroniki książąt Polskich, przypuszczalnie Piotr z Byczyny), aleś są to prawie wyłącznie Niemcy. Dla Polaków pozostają zainteresowania tylko drobnymi wypadkami, lub zdarzeniami szczególnie silnie wbijającymi się w pamięć. Tak np. około r. 1470 założył kanonik kościoła św. Krzyża we Wrocławiu, o niemieckim nazwisku Schwanfeld, zwany jednak powszechnie Paczkowicem, a więc najprawdopodobniej polskiego pochodzenia, kalendarz i nekrolog przy tym kościele, który później jeszcze długo był w użyciu. Podobnie jakiś nieznaną Polak zebrał we Wrocławiu w drugiej połowie XV w. szereg luźnych zapisek odnoszących się do dziejów Śląska, i na ich podstawie ułożył nie-samodzielny rocznik, zwany dziś kompilowanym rocznikiem wrocławskim. Albo znów prześladowanie Żydów we Wrocławiu w r. 1453 znalazło szerszy oddźwięk u współczesnych, skoro znamy o tym wypadku dwa współczesne niezależne od siebie opisy, z których jeden jest autorstwa Polaka, co prawda człowieka znów niebardzo wykształconego.

A fala germanizacji rozlewała się coraz szerzej. Niemieccy pisarze miejscy pisali dla niemieckiego mieszczaństwa dzieje miejskie, niemieccy opaci, dla niemieckich mnichów annały z dziejami klasztoru macierzystego; wszystko oczywiście coraz częściej po niemiecku. Dla polskiego pisarza, choćby nawet pisał po łacinie, nie było miejsca, bo nie miał go kto czytać. Wyjątki są nader rzadkie, a do tego nie zawsze pewne. Tak np. Zygmunt Rosicz, uważany przez znaczną część literatury za Polaka (nazywają go nawet Różyckim, o czym Niemcy naturalnie nic nie chcą wiedzieć) napisał swą Kronikę biskupów wrocławskich, dzieło samodzielne i dla lat 1386 do 1430 ważne; cóż, kiedy przyćmił go blaskiem i chwałą swego imienia pisarz wro-

clawski, Niemiec z pochodzenia, Piotr Eschenloer.

To też Śląsk, wystawiony na działanie niemieczyzny, aby ratować swą polskość, zasilać się począł przybyszami z Korony, którzy tu żyli i działali, tu, jak prawdziwi prekursorowie bojowników o polskość Śląska z XIX w., dawali wyraz swemu najgłębszemu przekonaniu, że Śląsk jest polski i do Polski kiedyś powróci. Taki np. skromny autor Kroniki śląskiej skróconej, pochodzący prawdopodobnie z Poznańskiego, a piszący swą małą zresztą wartościową rzecz około r. 1510, tak się wypowiada: „Mocny jest Bóg przywołać synów królestwa do siedziby swojej (myśli o stosunku Śląska do Polski) lecz nie należy do nas przewidzieć czas i chwilę, kiedy Bóg okaże swą potęgę”. Znany bardziej jest inny Wielkopolanin, który we Wrocławiu został z czasem proboszczem szpitala św. Ducha, Benedykt z Poznania. I on nie pozostawił po sobie żadnego wiekopomnego, samodzielnego dzieła, ale zasłużył się tym, że zebrał i przerobił zaginione dziś utwory, opiewające życie Piotra Własta; niektórzy nawet uważają naszego Benedykta za autora kroniki śląskiej skróconej. Miał wreszcie nasz proboszcz napisać żywot św. Stanisława, biskupa krakowskiego i św. Wojciecha, męczennika w Prusiech, ale dzieła te nie dochowały się do naszych czasów.

Nadchodził wiek XVI z wprowadzeniem na Śląsk reformacji, której Niemcy skwapliwie się chwycili, i przejściem kraju ostatecznie pod panowanie habsburskie, co prowadziło za sobą wzmożoną falę germanizacji. Ostatnie próby na polu kultury i nauki: ufundowania we Wrocławiu uniwersytetu, czy unormowania stosunków kościelnych (układem Kolowrata) rozbiły się. Niemczyzna triumfowała. I zarazem rzecz charakterystyczna. Sama nauka niemiecka przyznaje, że koniec XVI w. i pierwsze trzy ćwierci XV stulecia wykazują brak zainteresowania się historią właśnie wśród Niemców śląskich. Dzieła Steina (wątpliwego Niemca) i Rapolda nigdy nie były współcześnie drukowane, a prace historyczne Hessa zaginęły w rękopisie. Nikt się widocznie nimi nie interesował. Niemiecki Śląsk handlował i kupczył. A tym czasem Polska właściwa na przestrzeni pierwszej połowy XVI w. dała takich historyków, jak Wapowski, Orzechowski, czy Kromer, kiedy Niemcom śląskim przyszło czekać na swego historiografa aż do r. 1571, kiedy Joachim Cureus wydał pierwszą historię Śląska „Gentis Silesiae annales”.

Nic tedy dziwnego, że w takich warunkach nie było dla historyków polskich miejsca na Śląsku. Poza Bartłojem Steinem, o którego narodowość toczy się spór między nauką polską a niemiecką, nie ma na Śląsku na całej przestrzeni XVI w. ani jednego historyka narodowości polskiej. Może drzezią jakieś zamiłowania historyczne w klasztorze cysterek trzebnickich, w klasztorze, który najdłużej bo-

dał, bo aż do XVIII w. opierał się fali germanizacji, jak o tym świadczyć może drobnutki rocznik trzebnicki, wydrukowany w Krakowie w r. 1511. I dalej rzecz ciekawa. Niemcy śląscy interesujący się historią, szukają chleba za granicami Śląska, w Polsce, polonizując się tu zupełnie i pracując jako wybitni polscy uczeni. Taki np. Maciej Strubicz, syn sekretarza wrocławskiego, nie znalazłszy dostatecznego pola do popisu w rodzinnym mieście, przeniósł się do Polski na dwór Batorego, i tu nie tylko tłumaczył na polskie dzieło księcia Albrechta pruskiego, ale napisał i dedykował królowi dzieło historyczne „krótki i dokładny opis księstwa inflanckiego pod względem historyczno-geograficznym”. Ten sam Strubicz, gdyby był pozostał i pracował we Wrocławiu, byłby uważany przez Niemców za historyka niemieckiego.

Natomiast Śląsk przyciągać zaczyna historyków polskich, oczywiście nie jako temat zainteresowań, ale jako miejsce studiów. A więc nie licząc przelotnego zjawienia się we Wrocławiu Bernarda Wapowskiego, kontynuatora Historii Długoszowej, który tu bawił raczej dla spraw swej kanonii wrocławskiej, wspomnieć należy przede wszystkim dłuższy pobyt na Śląsku historyka polskiego, Joachima Bielskiego. Wpływ to może nie tylko skłonności Joachima do „nowinkarstwa”, tak godnie reprezentowanego przez świeżo rozkwitające gimnazjum luteranckie w Brzegu, gdzie przyszedł historyk szlachecki polski spędził cztery lata na studiach, ile może raczej cichych wskazówek ojca, Marcina Bielskiego, który przecież kiedyś pisał: „aby Niemcy Polsce Śląsko zwrócili, które polskie książęta naonczas przepili.” W Brzegu, pod kierownictwem profesora Kaspra Ludwika z Hajnowa, stawiał Joachim swe pierwsze kroki na niwie literackiej, pisząc wiersz na cześć fundatora gimnazjum brzeskiego, księcia Jerzego Pobożnego, lecz na Śląsk po r. 1572 późniejszy autor kroniki świata już nie wrócił.

Wiek XVII razem z wojnami religijnymi na Śląsku przyniósł, jak to już podniesiono w nauce naszej, osłabienie wojującej niemczyzny śląskiej i gdyby nie niedołężność polityki królów polskich (Zygmunta III i Władysława IV), a później upadek kulturalny i polityczny Polski, Śląsk byłby siłą ciężkości stał się z powrotem polski. To osłabienie żywiołu niemieckiego na Śląsku w XVII w. daje się odczuwać i w dziedzinie piśmiennictwa historycznego. Obok tedy historyków niemieckich (Henel, Luca, Naso), jawią się też pierwsze, skromne co prawda, próby pióra Polaków na niwie historii. Taki skromny przeor klasztoru w Oleśnie, ksiądz Augustyn Błazik († 1708) napisał po polsku, i to językiem prawie wolnym od makaronizmów łacińskich i prowincjonalizmów, kronikę swego klasztoru, dziś zdaje się zaginioną, którą jednak znał jeszcze Lompa i podał z niej ustępy w przekładzie niemieckim.

Sławniejszym od Błazika jest historyk-erudyta śląski Marcin Hankius, uważany przez Niemców za Niemca z krwi i kości, autor wielu uczonych traktatów z historii powszechnej, polskiej i Śląska. Píše niewątpliwie z punktu widzenia niemieckiego, udowadniając dawność żywiołu germańskiego na terenie Śląska (*De Silesiorum rebus ab a. 550—1170 exercitationes*, 1705), ale stuprocentowym Niemcem w każdym razie nie jest. Współczesny mu imiennik i współrodowiec, Chrystian Jeremiasz Hanke, nazywany jest przez rówieśników „Zdunensis Polonus” — Polakiem ze Zdun (w Wielkopolsce na granicy Śląska), więc i u naszego Marcina płynęła niewątpliwie w żyłach krew polska, choć sam sobie z tego nie zdawał sprawy.

Więcej natomiast wrocławian i ślązaków-historyków emigruje z kraju do Polski. Niemiec głogowski, wykształcony w szkole wrocławskiej, Joachim Pastorius ab Hirtenberg, przenosi się do Elbląga i Gdańska, i tu staje się historiografem nadwornym Władysława IV i Jana Kazimierza, pisarzem nieposłedniej miary, cenionym w kraju i zagranicą. Inny wrocławianin, Jan Alnpeke, zwany z polską Alembekiem, kształcił się tu w latach 1582—1586 w aptekarstwie, aby rodzinne swe miasto i zawód porzucić, przenieść się do Lwowa i tu zacząć działać jako polityk i historyk. Dziwna rzecz, syn Niemca z Fryburga píše rzeczy po polsku (*Apteka mego doświadczenia*), opiewa dzieje Lwowa, píše (po polsku) pamiętniki z dziejów miasta, gdzie żyje i działa, wreszcie staje na czele ruchu pospólstwa lwowskiego, walczącego o swe prawa przeciw patrycjuszowskiej radzie miejskiej. Gdyby żył we Wrocławiu nauka niemiecka każałaby go bezapelacyjnie uważać za Niemca.

A teraz odwrotna strona medalu. We Wrocławiu zjawia się w r. 1606 Stanisław Abraham Bzowski, rodem z Proszowic, który tu przez trzy lata jest przeorem konwentu dominikanów przy kościele św. Wojciecha (1606—1609). Na owe czasy była to znakomitość jako historyk. Świeżo napisał i wydał w Wenecji dwa dziełka poświęcone życiu i zabiegom o kanonizację św. Jacka Odrowąża, za pobytu swego we Wrocławiu wydał w Krakowie podobną rzecz o bł. Czesławie. W r. 1610 podał drukiem wypadki wrocławskie, jakie spowodowały go do opuszczenia urzędu i miasta. Przeniósł się rychło do Rzymu, gdzie zastąpił jako kontynuator *Roczników kościelnych* kardynała Baroniusza. Gdyby pozostał na Śląsku stworzyłby niewątpliwie okółko sobie koło współpracowników i naśladowców, stworzyłby ośrodek życia naukowego polskiego we Wrocławiu. Ale Niemcy go rychło wygryźli.

Z biegiem czasu pogarszają się coraz bardziej stosunki. Wiek XVIII, upadek myśli kulturalnej i politycznej w Polsce, nie sprzyjały rozwojowi polskiej myśli historycznej i na Śląsku. Nie słychać też nic o jakichś choćby próbach pisania historii tu przez Polaków, kiedy równocześnie Niemcy zalewają świat swymi



Wiosna śląska

Fot. J. Mańkowski

wywodami na temat niemieckości i pragermańskości tego kraju (Worbs, Büsching, Klose, Menzel). Jeden jedyny bodaj z Polaków działał w tym czasie, to ksiądz reformata, urodzony w Raciborzu, późniejszy przeor franciszkanów kolejno w Raciborzu, Namysłowie i Wrocławiu, Andrzej Barteczko († 1739). Erudyta wielki, twórca wielu akrostychów panegirycznych na cześć znakomitych współczesnych osób, pozostawił opis kościoła M. Boskiej pod Ołomuńcem, oraz żywoty kilkunastu opatów w klasztorze hradeckim w Czechach. Oba tematy z dziejami Śląska zupełnie nie związane.

Zmienić się to wszystko miało dopiero z chwilą przybycia na Śląsk Jerzego Samuela Bandtkiego. Dziwna rzecz, ów „niemiec” lubelski, związany z Wrocławiem węzłami rodzinnymi, uczeń uniwersytetów niemieckich, uważany był przez samych Niemców za „rodowitego Polaka”, pracą swą i poglądami dowiódł, że niedarmo na miano to zasłużył. 13-toletnia działalność naukowa Bandtkiego we Wrocławiu (nie licząc jego późniejszej profesury uniwersytetu w Krakowie) zaznaczyła się epokowymi, jak na owe czasy, pracami, udowodniały one nie tylko pierwotną polskość Śląska, nie tylko charakter jego polski w wiekach średnich, nie tylko dały doskonały podręcznik historii polskiej, ale i postawiły po raz pier-

wszy wbrew nauce niemieckiej wyraźną tezę „polskości” języka polskiego na Śląsku. Język polski, jakim mówią Ślązacy, jest wedle trafnych wywodów Bandtkiego nie jakąś mieszaniną polsko-czesko-wendyjską, jak chcieli jeszcze długo po nim Niemcy, ale bliższą czystego literackiego polskiego języka gwarą, niż niemieckie Plattdeutsch, czy jakiegokolwiek francuskie patois. Dołączała się do tych zasług Bandtkiego praca jego na polu niezwiązanym z dziejami Śląska; badanie historii książki polskiej, dziejów prawa, historii języka i literatury polskiej; dał wreszcie nasz uczony najlepsze do dziś wydanie kroniki tzw. Galla. Mimo późniejszej działalności Bandtkiego poza granicami Śląska, imię jego zrosło się na zawsze z tym krajem i do dziś stanowi symbol pioniera odrodzenia polskiej myśli historycznej na Śląsku.

Ale taki Bandtkie był jeden na stulecie. Zastąpić go po śmierci nie miał kto. Nie było na Śląsku warunków do kształcenia młodych historyków Polaków. Uniwersytet niemiecki, germanizacja kraju, ucisk ekonomiczny i administracyjny, dokonywały swego. Nie było danych, aby polska myśl historyczna mogła się swobodnie krzewić, aby Śląsk stał się takim centrum zainteresowań naukowych, jakim był za czasów Bandtkiego. Pisano wszakże od tej pory więcej, choć wyłącznie książki dla ludu. Pisał więc ks. Lompa „Krótkie wyobrażenie historii Śląska, Opole 1821”, pisał ksiądz Konstanty Damrot „Szkice z ziemi i historii Prus

Królewskich, Gdańsk 1886" (skonfiskowane), pisał pastor ewangelicki z Międzyborza Jerzy Badura († 1911) swe dzieje kościoła chrześcijańskiego (Cieszyn 1894), pisał sam profesor języka polskiego na uniwersytecie wrocławskim, Cybulski dzieje powstania polskiego z r. 1846; ale były to bądź książeczki popularne dla ludu, bądź rzeczy o charakterze więcej pamiętnikarskim, niż naukowym. Uczonych w prawdziwym tego słowa rozumieniu, historyków na Śląsku było wówczas tylko bodaj dwóch: Mosbach i ks. Jan Chrzęszcz August. Mosbach, choć związany wielorakimi węzłami z Wielkopolską, tu we Wrocławiu studiował historię, tu we Wrocławiu prowadził samodzielne badania naukowe, stąd korespondował z wybitnymi czeskimi uczonymi, np. Hanką, tu w drukarniach śląskich wydawał swe solidne prace i wydawnictwa źródłowe o nieprzemijającej dla historyka polskiego wartości. Imię Mosbacha dobrze się zapisało w historiografii polskiej. A później nieco ks. Jan Chrzęszcz, syn chłopca z Milonowa, proboszcz w Pyskowicach, redaktor Misjonarza katolickiego, pisał zarówno po polsku, jak po niemiecku, sumienne studia nad historią Śląska, zwłaszcza kościelną, nadto historię Pyskowic i parafii w Chorzowie.

Niesposób w ramach poniższych uwag wymienić wszystkich pracujących na niwie historii Polaków-Ślązaków.

Ale Śląsk XIX w. jeśli nie był jeszcze warsztatem pracy naukowej polskiego historyka, to przynajmniej był w dużej mierze jego szkołą. Tu we Wrocławiu, pod okiem takich uczonych jak Celakowski, Cybulski i Nehring, a później sumiennych, bezstronnych Niemców: Roeppla i Carego, kształcił się cały zastęp badaczy-historyków naszych o ustalonej w nauce polskiej i europejskiej sławie. A więc listę ich otwierają Wacław Maciejowski i Zygmunt Helcel, uczniowie niemieckiego prawnika Gauppa. Obaj historycy prawa, obaj zajmujący się dawnym polskim prawodawstwem; zwłaszcza Helcel pracami swymi wyprzedzał współczesne poglądy i do dziś na niejednym polu historycy polscy przyznają słuszność jego poglądom. A obok nich Ksawery Liske i Wincenty Zakrzewski, obaj uczniowie uniwersytetu wrocławskiego; Liske, czynny działacz na terenie Towarzystwa Literackiego we Wrocławiu. Zakrzewski wstąpił się swymi badaniami nad epoką Bato-rego w Polsce, doskonałym podręcznikiem historii powszechnej dla gimnazjów, wreszcie pracą pedagogiczną na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Liske, twórca „szkoły lwowskiej” historycznej, założyciel „Kwartalnika Historycznego”, inicjator Towarzystwa Historycznego i „ojciec duchowy” Bibliografii Historii Polski L. Finkla, był obok Szujskiego, Bobrzyńskiego i Smolki twórcą nowożytnej, na zachodnich wzorach opartej, historycznej myśli badawczej polskiej.

A obok tych koryfeuszów naszej nauki sze-

reg innych nazwisk. A więc Zygmunt Celichowski, cichy badacz dziejów XVI w. i niestrudzony wydawca „Tomicianów”; a więc Antoni Danysz, historyk naszego szkolnictwa; młodo zmarły Klemens Kantecki, znawca epoki saskiej; Bronisław Dembiński, historyk-filozof, szczególnie interesujący się epoką Stanisława Augusta, czy mało znany Antoni Banaszak, adwokat poznański, który tu we Wrocławiu studiował historię sztuki i wielu innych, których niesposób w ramach tego krótkiego szkicu wyliczać.

Obraz nauki historycznej polskiej na Śląsku nie byłby pełny, gdybyśmy choćby ogólnie nie wspomnieli o tych, których Śląsk dał Polsce, którzy nie działając na terenie swej ściślejszej ojczyzny rozsławili się za jej granicami. A więc przede wszystkim Lotar Dargun, urodzony w Opawie, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, historyk- socjolog, którego niemieckie tłumaczenie rozprawy „O pokrewieństwie przez same tylko matki u dawnych Germanów” rozsławiło szeroko jego imię zagranicą. A dalej Józef Buzek, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, historyk i statystyk, urodzony w Końskiej pod Cieszynem, którego książka „Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków” jest podstawową dla badań prześladowań niemieckich na terenie naszego Śląska. A następnie Franciszek Duda, dyrektor Archiwum Państwowego w Krakowie, doskonały znawca spraw pomorskich. W dalekie kraje, bo aż do Małej Azji i Persji zagnały losy o. Mąswea Aulicha, rodem z Komornik; na obczyźnie pracował aż do r. 1843 dla sprawy polskiej, pozostawiając nad to po sobie dziennik swych dwunastoletnich podróży po Wschodzie, będący cennym źródłem do poznania historii polskiej emigracji w Turcji.

Nie sposób tu wszystkich omówić, czy choćby wszystkich wymienić; przyszłe badania rzucią światło na jeszcze niejedną osobę. Ale nawet ten ułamek i dorywczy nieraz przegląd świadczy o jednym. Śląsk od sześćdziesięciu lat oderwany od Polski, jęczący pod butem okupacji i wynaradawiającej polityki niemieckiej, ani chwilę myśleć i czuć po polsku nie przestał. Polska myśl historyczna, nawet w dobie największego ucisku niemieckiego, pleniła się w ukryciu, najwybitniejsi jej przedstawiciele szukać często musieli pola dla swej pracy poza granicami Śląska, nie mając możliwości szerokiego rozwinięcia swego polotu. Dziś, kiedy nauka badawcza na Śląsku także i w dziedzinie historii wchodzi w nowe fazy rozwoju, kiedy polski uniwersytet we Wrocławiu kształci już nowe kadry przyszłych polskich historyków, pamiętać musimy o jednym. Polska nauka historyczna musi sobie zdać sprawę, że obecnie najpilniejszym jej zadaniem jest udowodnić światu, iż o dziejach Śląska ma własne naukowe, bezstronne zdanie, niezależne od dotychczasowych tendencyjnych sądów pseudonauki niemieckiej.

Bezcenna ojczysta księga Śląska / Stanisław Rospond

Odra, wyzwolona z uścisków Bramy Morawskiej, wpływa na rozległą równinę śląską. Przyjawszy po drodze siostrzyce: Olzę, Kłodnicę, Małą Panew, Stobrawę, Widawę, Oławę, Bystrycę, Ślężę, Wartę i inne rzeki, pulchnieje i jak przystało na leciwą i dostojną matronę, majestatycznie płynie do polskiego Bałtyku. Jakież pradawne dzieje pamięta?!

Pamięta rycerzy z Zachodu i Wschodu, którzy w miejscach stosownych do przebycia, tzw. brodach, przekraczali ją w latach już nie pierwszej jej młodości, bo w czasach historycznych. Ci z zachodu nieśli zagładę, śmierć i wynarodowienie. Ci ze wschodu to pobratymcy Pomorza, Marsylii i Lyonu i mnichów z klasztorów zachodnich, zdążających przez jej brody do Polski Piastowskiej. Pamięta pierwszego komiwojażera średniowiecznego w tych stronach Ibrahima ben Jakuba z IX w. Pamięta biskupa merseburskiego Thietmara, który z rewerencją wspomina o niej w swojej kronice z IX w.: *Odera fluvius*. Pamięta hufce Chrobrego, zdążające na wyzwolenie braci zza Odry i tu pojące konie. Pamięta i czasy o wiele, wiele odleglejsze. Pamięta lud kultury tzw. życkiej; lud rolników, zdunów, tkaczy, rybitwów nie wojowników; lud mający żarna, sierpy, kosy, lemiesz, radła, przęsłiki i ciężarki tkackie, a nie miecze; pamięta, jak ten lud, grzebał popioły zmarłych w urnach — popielnicach. Nauka niemiecka upatrzyła prasłowiańską kółkę w błotach pińskich, anektując ziemie prasłowiańskie i prapolskie między Odrą a Wisłą dla Germanów.

Imponujący szmat historii: 2000 rok pański przed Chr. — 1946 rok po Chr. Przez 40 wieków wymierały pokolenia, przez 40 wieków ginęły w jej nurtach ludy, przez wieki na jej oczach odbywał się zażarty bój o „Lebensraum” dwóch wrogich światów: słowiańskiego i germańskiego. Rycerze z zachodu spod znaku swastyki głosili prawo miecza, rabunku, nie historii. Ona jedna „wierna” rzeka. Wierna, bo czy ona temu winna, że zachłanny Prusak i tu swoje trzy grosze wstawił, stricte nie trzy grosze, lecz samogłoskę *e* między *dur*, oraz *a* połąkł zamiast słowiańskiego *Odra* — niem. *Oder*. (Ale w ustach ludu nadodrzańskiego pozostała Odra, tj. *O-dra*) por. *Dra* — *wa*: *drę*, *drzeć*, *staropol. drał*, *drać*, *staroind. dhara* — strumień.

Nazwy geograficzne są najpewniejszym dokumentem historycznym z czasów przedhistorycznych. To ważna, czasem jedyna i dlatego bezcenna ojczysta księga, księga kultury duchowej i materialnej, z której językoznawca, — tak jak i etnograf, prehistoryk, czy archeolog — odczyta prastare dzieje narodu. Te kamienie-lingi językowe przetrwały w skostnieniu wieki całe. Urągają wiekowej germanizacji, zachłan-

ności i bucie krzyżackiej. Nawet z najbardziej zniekształconych nazw wyłazi polskie sztyło z worka. I choć czasy świetności piastowskiej, czasy zjazdu w Budziszynie, czasy polskiego biskupstwa w Kołobrzegu, czasy Piastów śląskich zarosły puszcza niemieckości, to te relikty polskości, czy słowiańskości, rozsiane daleko na zachód, hen aż do Menu, za Łabą, do brzegów Morza Północnego, te Berliny, Lipski, Rostoki, Lubeki, głośno krzyczą: *Byliśmy tam!* Najpiękniejszy po sobie pomnik polskiej kultury duchowej i materialnej pozostawili po sobie Ślężanie i Pomorzanie w tych niezliczonych nazwach geograficznych.

Gdy językoznawca otwiera tę księgę geograficzną Śląska czy Pomorza, to te przeróżne *-hofy*, *-bergi*, *-dorfy*, *-waldy*, *Heinrichy*, *Friedrichy* itd., itd., te przeróżne przyczepki, czy doczepki niemieckie narzucają mu świeży, bolesny obraz: *ś.p.G.G.* (*Generalgouvernement*), przypominają pana gubernatora Francka, rezydującego na Burgu — broń Boże nie na Wawelu! i urzeczywistniane przez niego niemieckie plany „*Drang nach Osten*” przez germanizowanie polskich miast, miasteczek — ba! nawet ulic miast. *Krakau*, *Litzmannstadt*, *Kressendorf*, *Reichshof*, *Wartenberg*, *Frauenstadt*, *Auschwitz*, to wszystko były „*urdeutsche Städte*”! Na szczęście w tym przymusowym hitlerowskim ustroju „nie paradował” ani Kraków (*Krakau*), ani Łódź (*Litzmannstadt*), ani Krzeszowice (*Kressendorf*), ani Rzeszów (*Reichshof*) długo, bo prawie 6 lat. Cóż znaczą te kilka lat niewoli wobec wielowiekowego jarzma, w jakim znalazły się nasze ziemie zachodnie? Nadodrzański reżim hitlerowski w latach 1934—38 postanowił przeprowadzić generalną „czystkę” polskich nazw miejscowych. Ta *sui generis* masakra polskości nie była pozbawiona momentów komicznych. „*Bund Deutscher Osten*” wydał we Wrocławiu broszurę „*Welche Namen wähle ich?*”, z którym to piśmidłem opolskie „*Nowiny*” prowadziły — jak p. E. Osmańczyk pisał w „*Dzienniku Polskim*” — zażartą walkę. W gmachu rejencji w Opolu znalazł on cały regał skoroszytów z napisem „*Zmiany nazw miejscowości na Śląsku*” od 1922—1939 r. Litania zmian. Niektóre zmieniano trzykrotnie, i trzykrotnie uzasadniano je. Ot np. sprawa Kędzierzyna (między Raciborzem a Opolem) ochrzczonego na Kandrzin. W podręcznikach szkolnych niemieckich spłodzono następującą bajeczkę o germańskim pochodzeniu nazwy: Ludzie na widok pierwszej kolei żelaznej, biegnącej z Opola do Raciborza, widząc parowóz bez koni zawołali: „*kann der ziehen!*”, a pasażerowie słysząc to, nazwali miejscowość Kandrzin, a niejeden mały Kędziora, o kędzierzawych, jasnych włosach musiał słuchać tych wypocin nie-

mieckiego nauczyciela. Ponieważ trzeba było jakoś śląskiego SA-Führera Heydebrecka uczcić, szefa bandy Orgescha, bijącej się o Kędzierzyn z powstańcami śląskimi w 1921 r., więc nowe chrzciny: Kandrzin-Heydebreck. I to nie koniec. Ponieważ p. SA-Führer Heydebreck zginął wraz z Böhmen i Schleicherem, więc miasto Heydebreck powróciło do „dobrej” niemieckiej nazwy Kandrzin. I czy myślą czytelnicy, że koniec tej zabawki. Bynajmniej! Sam „Führer” wmieszał się w tę sprawę kędzierzyńską. Dla rehabilitacji „przez omyłkę” zastrzelonego Heydebrecka, miasto po raz wtóry ochrzczono nazwiskiem SA-Führera. Po jedenastu latach polscy kolejarze zwalili Heydebreckie napisy. Dziś prostują się litery polskie: Kędzierzyn = osada Kędziory. Miara jak inteligentnie germanizowano nazwy polskie może posłużyć jeszcze jeden przykład, wieś Zawada w pow. opolskim, którą ochrzczono w 1936 r. na Hinterwasser. Od z a w a d a (por. w a d a, nazw. Z a w a d z k i) do wody bardzo a bardzo daleko. Ale dla Niemca Z a w a d a czy Z a w o d a to to samo!

Otwórzmy wreszcie z pietyzmem tę prastarą księgę geograficzną Śląska, zmurszałą od czasu, tu i tam przez wypadki dziejowe mocno wystrzępioną, z kartami powyrywany nieraz i poczytajmy w niej uważnie, choćby przez kilkanaście minut, a może odżyją nam śląskie Bolki, Bieńki, Bolechy, Racibory, Wrocisławy, Ścibory, Sędziwoje, może staną nam przed oczyma: bobrownicy, sokolnicy, szczytnicy, złotnicy, piekarze, świniarze, winiarze, który już to z dobrej woli księcia-pana skupiali się wokół grodów jako bracia służebni. A może wtedy zrozumiemy, dlaczego żądamy oparcia naszych granic o Odrę i Nysę.

W każdej księdze są wstępy, uwagi metodyczne, więc i w tej miejmy cierpliwość przeczytać garść uwag ogólnych o imionoznawstwie. Człowiek nazywa i musi nazywać ziemię, na której mieszka i z którą go łączą nierozzerwalne węzły życiowe. Cały zapas nazw geograficznych każdego narodu jest rozdziałem wielkiej księgi żywota, jaką naród z woli Bożej układa. Będą w tej księdze rzeczy wspólne wszystkim ludom na mocy podobieństwa zasadniczego duszy ludzkiej, ale obok tego będą rzeczy odrębne, narodowe, na mocy odrębności duszy narodowej. W prostych warunkach swojego bytu, wśród przyrody twardej wnikał w nią Słowianin, Ślązak, czy Pomorzanin dokładniej, niż się to dzisiaj dzieje, a wskutek tego nazywał ziemię szczegółowiej. Umiał podpatrzeć jej barwy (Biała, Czerwona, Ruda, Rudno, Czarna), jej ukształtowanie (Góra, Nizina), jej charakter geologiczny (Glinki, Piaski, Kamieniec), jej florę (Dęby, Lipno, Brzozów), jej faunę (Wilki, Koźle, Sarny). Umiał zmieniać konfigurację terenu w miarę potrzeby swojej i dla obrony swojej. Stąd liczne miejsca

obronne, tzw. Grodziska, stąd Osieki miejsca osieczone, strzegące dostępu do granic państwa; stąd Brody, Mosty, Targowiska. Ale nie tylko mówią nam nazwy o skorupie ziemskiej (są to nazwy topograficzne, terenowe), ale i o człowieku, o Ślązaku, jego pracy, zmaganiach się z napierającą niemczyzną.

W tych już nazwach człowiek pewniejszy swojego „ja”, wypowiadał się jako założyciel osady, stąd nazwy dzierżawcze, wskazujące na indywidualnego właściciela (Mikołów, Namysłów, Wrocław, Racibórz); wypowiadał się też cały ród, stąd nazwy tzw. patronimiczne, odojcowskie, wskazujące na potomków sławnych rodów (Mysłowice, osada Mysłowiców, Siemianowice, Katowice — pociesmy się, że osada nie katów przez małe k, lecz przez duże K, tzn. było sobie imię, czy przezwisko człowieka Kat, tak nazwanego, czy to z powodu jego surowości, srogości, czy z jakichś innych powodów, ale bynajmniej nie wykonywującego zawodu kata. Są jeszcze inne wyraziste kategorie tzw. nazwy służebne, wyrażające zajęcie mieszkańców: Bobrowniki, Sokolniki, Piekary, Winiary, oraz nazwy kulturalne, odzwierciedlające pewne urządzenia, wytwory kultury materialnej, społecznej, religijnej, czy duchowej, np. charakterystyczne dla Śląska Wole i Lgoty (por. u-lga); mieszkańcy tychże byli na pewien czas zwolnieni, mieli ulgi, swobody podatkowe; Sobótka, bo tu co sobotę targ się odbywał.

Po tych wstępnych, metodologicznych, klasyfikacyjnych uwagach, czytamy dalej w interesującej księdze śląskich nazw geograficznych. Na jednej z pierwszych jej stronik tłustym drukiem wypisany cytat z tzw. Geografa Bawarskiego (IX w.), opisującego grody i terytoria plemienne na północ od Dunaju. W gronie licznych plemion Europy środkowej wymienienia on: Ślężan, Dziadoszan, Opolan, Gołęźyców. Z wymienionych czterech nazw plemiennych jedna, mianowicie Opolanie wywodzi się od miejscowości Opole: opole. Dziadoszanie, Gołęźcy od imion osobowych Dziadosz i Gołęga, a Ślężanie, to pierwotnie tylko środkowośląskie plemię, nazwane od rzeki Ślęzy, zwanej po niemiecku Lohe. Z tych nazw plemiennych najwięcej zainteresowania budziła nazwa Ślężanie, a potem nazwa całej dzielnicy, tj. Śląska. Rzeczką, od której cały Śląsk nazwano, lewobrzeżny dopływ Odry już w XIII w. Niemcy ochrzczili na Lohe, ale źródła, przekazujące jej polską nazwę, podają ją w postaci, którą należy czytać Ślęza. Ślężanie byliby zatem ludźmi, mieszkającymi nad rzeką Ślężą. A Śląsko, z domyślnym, dawniejszym pole (bo tak w formie niejakej lud mówi o Śląsku), byłoby Śląskim polem, czyli polem Ślęzan. Snuto najróżnorodniejsze fantazje na temat tej nazwy. Niemiec Paul Cassel

ze swoją hipotezą: Śląsk od śliwy, nie ustępował naszemu kronikarzowi Kromerowi, który dopatrywał się w tej nazwie pierwiastka *zleść*, *złazić*. Linde, nasz znakomity słownikarz, połączył *Ślązaków* ze *ślazem*; a B. Stenus, pierwszy geograf śląski w 1512 r., wyprowadzał ich nazwę od „złego”. Te próby są o tyle znamienne, że wszystkie nawiązują do jakiegoś pierwiastka polskiego. Dopiero nauczyciel niemiecki Imsieg na podstawie czysto zewnętrznego, wzrokowego podobieństwa Ptolemeuszowych *Silingów* (plemię germańskie), zamieszkującego na początku ery chrześcijańskiej Łużycę Górne, połączył ze Śląskiem. A ponieważ to wygodne było dla nauki niemieckiej, bo pozwoliło jej ogłosić Śląsk za kraj rdzennie germański, więc skonstruowano teorię o pochodzeniu nazwy Śląska od *Silingów*. Nie przeszkadzało im nawet to, że nie objaśnili, co w germańskim znaczy *siling*. Nic dziwnego, że uczeni polscy wysunęli przeciw tej hipotezie zarzuty natury paleograficznej, historycznej i przede wszystkim językowej. Więc w myśl zasady, że kij ma dwa końce, powiada polska nauka: to nie Śląsk urobiono od niezrozumiałych *Silingów*, lecz może *Silingów* nazwano tak od słowiańskiej *Ślęzy*, a ta znów ma nawiązania polskie z wyrazami: *ślęgnąć* = moknąć, *ślęganina* = wilgoć, *ślągwa* = ślota. Dla nazwy rzecznej taki pierwiastek byłby zrozumiały, czyli *Ślęza* byłaby rzeką, płynącą po zalanych, „prześlągłych”, mokrych obszarach. Rzecz nie bez znaczenia, że niemiecka nazwa *Lohe* ma to samo znaczenie.

Dosyć czasu zajęła nam ta podstawowa karta dziejów Śląska. Ale czytamy dalej! Thietmar w kronice spisanej w czasach Mieszka I. i Bolesława Chrobrego wymienia następujące grody: *Krosno*, *Głogów*, *Wrocław*, *Niemcy*; z rzek: *Bóbr* i *Odrę*. To nie cały zasób śląskiej toponymii. To jedynie przypadek, że tylko te i właśnie te wybrał Thietmar. Wszystkie są polskie. *Krosno* czy *Krostno*, teren pagórkowaty, *krostami* pokryty, *Głogów* od *głogu*, *Wrocław* to gród *Wrocława*, *Wrocisława*, czy jak czasem też pisano *Warcisława*, *Niemcy* od jeńców, których jako zdobycz wojenną tu osadzono. W bulli protekcyjnej papieża Adriana I dla biskupstwa wrocławskiego z 1155 r. już nie 6 nazw, ale setkę naliczymy. Analogicznie bulla z 1245 r. zawiera nazw miejscowych i osobowych przeszło 170. To wszystko nazwy polskie!

Otwieramy teraz stronicę naszej księgi, z zatytułowanym rozdziałem: *Księga Henrykowska* z drugiej połowy XIV w. Na tle opisu dziejów klasztoru cysterskiego w Henrykowie pod Wrocławiem, wpleciona jest żywo napisana gawęda o tworzeniu się nazw miejscowych. Przytoczymy ją w tłumaczeniu i w wyjątkach:

„O Henrykowie trzeba wiedzieć, iż zrazu nazywał się *Januszów* z tego mianowicie powodu, że dawniej w miejscu, skąd wypływa

rzeczka przecinająca wieś, siedziało dwu rycerzyków braci rodzonych, z których starszy zwał się *Janusz* i dlatego miejsce to w owym czasie nosiło nazwę *Januszów* ... Siedzieli niegdyś z tej strony *Januszowa* pewni wieśniacy książęcy, posiadający znaczną ilość ziemi; mieszkali oni w tym miejscu, gdzie teraz stoi klasztor. Należy wiedzieć, że między tymi wieśniakami było dwu przewyższających pozostałych znaczeniem. Z tych dwu jeden zwał się *Krzepisz*, drugi *Żuk*, a stąd miejsce owo zwało się niegdyś *Żukowicy* ... Za dawnych czasów rósł we wsi *Januszowie* wielki platan, drzewo zwane po polsku *ja wor*. Spod korzeni tego drzewa biło źródło, które od drzewa nazywało się wówczas *Ja wor zyca*. Ze źródła wypływała rzeczka, przecinająca *Henryków*. Rzeczka sama zwie się *Jagiarno* z tego mianowicie względu, że Polacy w jej dolinie oddawna siali często proso ... Mikołaj kazał ściąć drzewo wyżej wspomniane i w ten sposób zniszczył nazwę tej części *Januszowa*. Gdy zaś przytem przyłączył ją do swego działu zwanego *Żukowicy*, nazwał całość *Henrykowem* przez szacunek dla pana księcia starego ... W ogrodzie, który leży nad *Oławą* siedział za dawnych dni stary wieśniak książęcy imieniem *Kołacz*. Ponieważ w tych czasach ziemia w tej okolicy była lesista i niezamieszkała, przeto wieśniak ów władał nad rozległymi w okręgu tymi borami i lasami. Od niego obszar ten zwał się zdawna *Kołaczowe* ... Teraz wiecie bracia z ilu drobnych części składa się *Henryków* i dlaczego tak się nazywa.” Tymi słowy kończy autor henrykowskiej kroniki zajmującą gawędę o powstaniu *Henrykowa*. Dzięki talentowi narratorskiemu autora obserwujemy jak powstawały rozmaite znane nam już rodzaje nazw topograficznych (*Ja wor zyca*, *Jagiarno*) dzierzawczych (*Januszów*, *Henryków*, *Kołaczowe*), patronimicznych (*Żukowicy*). Wszystkie te typy nazw spotkamy w jak najszerszym zastosowaniu na Śląsku. Nazwy terenowe zainteresują geografa, przyrodnika. Dowie się bowiem z nich, gdzie były dawniej ostrowy = wyspy, częste na pojezierzu pomorskim, stąd *Ostrowite*; gdzie były chełmy tj. pagórki, lasy, puszcze, bory; gdzie były debry, tj. wertepy, doły, stąd *Za brze* dawniejsze *Za dbrze*, czyli osada za dołami, wertepami. Dowie się, gdzie dawniej płynęły potoki, strumyki, po których dzisiaj nie masz ani śladu. Dowie się dalej, gdzie była urodzajna ziemia, a gdzie licha, nie dająca chleba (*Nie masz chleba*, *Bez chlebie*).

Nazwy odosobowe zainteresują historyka dawnych form osadniczo-socjalnych. Dowie się on, gdzie panowały: ród *Mysłowiców*, *Siemianowiców*, *Świętochowiców*, itp., a gdzie była własność indywidualna *Racibora*, *Kołacza*, *Janusza* itp. Dowie się, gdzie i jakie zawody uprawiano. Dowie się, że w *Bobrownikach* byli hodowcy bobrów, w *Łagiewnikach* łagiew-



nicy, to jest ludzie zajmujący się wyrobem łągwi, czyli beczek, w Szczytnikach ludzie wyrabiający szczyty, tarcze (dodajmy przy tej sposobności, że i Szczecin, niem. Stettin, to dawniejsze Szczytno), w Winiarach winiarze uprawiali winną latorośl dla produkcji wina mszalnego. Klasztory, biskupstwa miały swoje winnice, nad którymi czuwali winiarze.

Ostatni rozdział naszej księgi nosi tytuł: walka Niemczyzny z polskością w świetle nazw miejscowych. Zaczęła się ona w najdawniejszych czasach. Już w księdze uposażeń biskupstwa wrocławskiego czytamy polsko-niemieckie pary nazw, w których forma niemiecka jest dosłownym tłumaczeniem formy polskiej: np. villa Psarze sive Hundern, in Kobyllica sive Kulndorf, to późniejsze niemieckie Hünnerg, Keulendorf. Tak samo przetłumaczono Długąłaka na Lange-wiese, Zimnawódka na Kaltwasser, Kucharze na Kochern, Siodlarze na Satteldorf. Ale nie tylko ten sposób stosowano przy germanizacji polskich nazw miejscowych. W miarę postępu germanizacji nie zadawano sobie trudu z tłumaczeniem, zastępując nazwę polską pierwszą lepszą niemiecką wybraną na chybił trafił. Mógł Kędzierzyn być ochrzczony na Heydebreck, dlaczegożby nie można było aż 70 Friedrichów wpakować w różnych Friedrichshof, -berg, -grätz itp.; 100 Heinrichów, Heinzów i Hinzów z przyczepką -dorf, -felde, berg, -burg. Dlaczegożby Osiek nie miał stać się

Droga do Płomnic

Fot. J. Mańkowski

Andreasdorf, Zabrze Hindenburgiem. Jak z powyższych uwag widać, wiele było sposobów zacierania polskośći śląskich nazw miejscowych. Zastępowanie nazw polskich niemieckimi, narzucanie im niemieckiego wyglądu, to świadoma walka na śmierć i życie, wypowiedziana żywołowi polskiemu. Skutkiem germanizacji były zastraszające zniszczenia w zasobie naszej toponomastyki nadodrzańskiej. Dość przyjrzeć się pierwszej lepszej mapie przedwojennej Śląska dolnego i środkowego, aby się przekonać, jak bardzo niemieckim stało się imiennictwo miejscowe tych okolic. Gdzie rzucić okiem na mapę, tam narzuca nam się to Arnisdorf, Kunzendorf, Hohen-dorf, to znów na odmianę Rothkirch, Hochkirch, Buchwald, Schönborn, Altwasser i tak dalej, i tak dalej bez końca. Tu i ówdzie tylko wyłaniały się wysepki, oazy polskie, ale i tym reżim hitlerowski nieubłaganną walkę wydał.

Na szczęście z inicjatywy „Instytutu Śląskiego” i Polskiej Akademii Umiejętności prof. W. Semkowicz i prof. W. Taszycki razem z młodszymi naukowcami uporządkowali śląską toponymię, przywracając jej polską, rodzimą szatę.

Otworzymy wnet tę bezcenną, ojczystą księgę Śląska i z kart jej nie wyczytamy Lange-mark, Granschütz, Glärsersdorf, ale Krzepielów, Grębocice, Szklary itd.

Czeskie parcie na Północ / Karol Stojanowski

Jesteśmy obecnie świadkami niezrozumiałego i bardzo w polskiej opinii publicznej niepopularnego czeskiego parcia na północ. Parcie to objawia się narazie w zatrzymywaniu Zaolzia w czeskim ręku, w wysuwaniu rozmaitych żądań terytorialnych do Śląska Górnego i Dolnego, oraz w dążeniu do włączenia do państwa czesko-słowackiego Łużyc. Prasa polska donosi ciągle o rozmaitych żądaniach czeskich, wysuwanych przez prasę, zebrania polityczne, a nawet przez bardzo poważnych i wpływowych polityków czeskich. Ostatnio nawet Czechosłowacja postawiła te zagadnienia całkiem oficjalnie na terenie międzynarodowym, zgłaszając swe pretensje na paryską konferencję ministrów spraw zagranicznych czterech głównych państw światowych.

Wygląda przy tym na to, że obecne postulaty czeskie są tylko wstępem do dalszych jakichś dążeń i żądań, podważających naszą granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Takby przynajmniej należało sądzić po mapie czeskiej, kolportowanej w roku 1938 na wielkim zlocie sokolim w Pradze. Autorowie zatytułowali tę mapkę: „Tak wyglądało nasze państwo.” Rysownik włącza do państwa czeskiego, oprócz ówczesnej Czechosłowacji jeszcze Węgry, cały Śląsk, Łużycę, Brandenburgię, oraz szeroki pas Pomorza. Granicą Czech na północnym zachodzie jest rzeka Łaba a Odra stanowi ni mniej ni więcej tylko oś państwa czeskiego, należąc do tego państwa na przestrzeni całej swej długości. Bardzo ciekawy i interesujący jest napis propagandowy na tej mapie. Oto jego tłumaczenie: „Tak wyglądało nasze państwo. Odpowiedź naszym nieprzyjaciołom. Gdzie wszędzie mieszkali w naszym państwie Słowianie? Północni Słowianie podporządkowywali się w średniowieczu chętnie panowaniu czeskich królów, których potęgą była niezmierzona i groźna. Dzisiaj potomkowie tego naszego ludu mówią częstokroć po niemiecku. W odpowiednim czasie weźmiemy ich znowu pod swój opiekuńczy dach. Węgrzy wdarli się do kotliny naddunajskiej i przyjęli u nas gošcinę. Im także udzielone zostało u nas dobrodziejstwo chrześcijańskiej kultury. Przyzwoity gošć rozumie, co jest winien gospodarzowi udzielającemu gošciny. Nasza armia jest jeszcze lepsza jak armia naszych bohater-skich królów. Potrafi ona tak samo swoje państwo bohatersko obronić, jak to robili starzy Czesi w przeszłości.”

Pomijamy tu zagadnienie włączenia do państwa czeskiego Węgier, gdyż to do naszych w tej chwili zainteresowań nie należy. Jeśli mowa o zapędach północnych, to propaganda czeska nawiązuje tutaj przede wszystkim do czasów Przemysła Ottokara II (1253—1278), który na krótki czas był rzeczywiście opanował kraje na północ od Czech. Stracił je jednak bardzo szybko i gwałtownie. Również nabytki

Karola I z dynastii Luksemburgów (1346—1378) nie ostały się przy Czechach.

Jak za tym widzimy w roku 1938 Czesi wykrawywali sobie wcale ładne terytorium. Zachodzi pytanie czy, był to jedynie nieodpowiedzialny wyskok czeskiej hurapropagandy, czy też w ulotce tej tkwi głębsza i uparta myśl czeskiej polityki? Pewną na to pytanie odpowiedź może nam dać rozpatrzenie czasu, który wybrano do wystąpienia z omawianą mapką. Był to zaiste dramatyczny moment w najnowszych dziejach czeskich. Sam zlot sokoli był największą manifestacją czeską przeciwko hitlerowskiej próbie zabrania Czechosłowacji Sudetów. Niedługo potem przyszło uderzenie, któremu na imię Monachium. Ważyły się zatem wtedy losy Czech. Nie dziwimy się więc, że organizatorzy zlotu odwołują się do armii czeskiej, która miała być tak dobrą armią. Przyszłość co prawda okazała, że armia ta nic Czechom nie pomogła. Czesi jako taran przeciwniemiecki całkowicie zawiedli pod względem wojskowym. Dlaczego jednak propaganda czeska wyszła w owym czasie z tak imperialistycznymi żądaniami i sugestiami? Wydaje mi się, że Czesi myśleli wtedy o obronie orężnej licząc się z możliwością pomocy wojskowej wielkich mocarstw zachodnich, oraz Rosji Sowieckiej. Przewidując swój udział w wojnie, w składzie wielkiej koalicji przeciwniemieckiej wystawili oni rachunek za swój ewentualny udział w tej wojnie. Omawiana tutaj przez nas mapka, była swoistym ogłoszeniem czeskich celów wojny, którą spodziewali się Czesi w roku 1938 prowadzić z Niemcami. Celami tymi była aneksja Węgier oraz zgermanizowanych terenów dawnej zachodniej Słowiańszczyzny pomiędzy Łabą a ówczesną zachodnią granicą Polski. Ostatecznie jednak Czesi cofnęli się przed tą wojną, woląc narazić się na niemiecką niewolę, aniżeli zaryzykować zniszczenie kraju i ludzi. Oczywiście, że ten rozwój wypadków nie dał Czechom takiej pozycji w obozie zwycięzców, aby mogli oni wystąpić obecnie ze wszystkimi żądaniami umieszczonymi na mapce propagandowej z roku 1938. Część żądań postanowili jednakże Czesi obecnie wysunąć pomimo to, że wschodnia część Nadodrza dostała się obecnie Polsce.

Mapa roszczeń czeskich z roku 1938 nie jest tylko pojedynczym jakimś wyskokiem propagandowym, podyktowanym przez rozpacz, psychozę chwili, względnie przez momenty koniunktury roku 1938-ego. Jest o wiele więcej świadectw na to, że Czesi traktują swój program północny całkiem poważnie. Ograniczę się tutaj jedynie do cytata z rozprawy P. Dehna, zatytułowanej „Das Slaventum nach Siegen der Balkanstaaten” opublikowanej w roku 1913 w „Politisch — Anthropologische Revue”, czasopiśmie ówczesnych niemieckich rasistów. Już

Mapa czeska, kolportowana w roku 1938 na wielkim zlocie sokolim w Pradze



wtedy miał Dehn wiadomości o tym programie czeskim. Píše on między innymi na ten temat co następuje: „Czesi przy swoich 6½ milionach ludzi dążą najpierw do zjednoczenia Czech, Moraw i Śląska w jedno czeskie państwo wewnątrz monarchii austriacko — węgierskiej. Ma to być mocny zachodniosłowiański klin państwowy, wbity w niemiecką środkową Europę. Czesi spodziewali się, że będą mogli później powiększyć swoje państwo kosztem Polaków o część Galicji Zachodniej, kosztem Węgrów o całą Słowaczkę. Mają też oni nadzieję powiększyć swe terytorium o Saksonię z miastami Budziszynem i Dreznem, o Łużycę z Lasem Nadsprewiańskim i o pruski Śląsk ... W przyszłości ma powstać potężne państwo czeskie od morza do morza, od Adriatyku po Bałtyk. Już Shakespeare w swej poetyckiej fantazji państwo to przewidział, kiedy w jednym ze swych dramatów przedstawia jedną odsłonę „w dzikiej okolicy czeskiego wybrzeża”. Czesi spodziewają się całkiem poważnie, że szekspirowskie licentia poetica rozwinie się w polityczną rzeczywistość, t. z. że powstanie czeskie państwo od morza do morza. Obecnie znowu czescy przywódcy dali wyraz swojej nadziei. Oto w roku 1912 na zlocie sokolim w Pradze stwierdził prezes sokolstwa czeskiego dr Schreiner, że granicą pomiędzy Słowianami a Germanami jest rzeka Łaba. Słowiańszczyzna sięga od Uralu do Lasu Czeskiego, od Bałkanu do Bałtyku.”

Dehn podnosi już w roku 1913, że Czesi muszą popaść w konflikt z Polakami, o ile zechcą realizować swoją ekspansję na północ. Konflikt ten dla Czech będzie bardzo nieprzyjemny, gdyż Polacy są narodem więcej aniżeli dwa razy tak liczny, jak Czesi. Nadzieja na ten konflikt, rasistę niemieckiego bardzo uspokaja. Warto w dzisiejszej sytuacji przytoczyć dosłownie niegłupie przewidywania Dehna. Píše on: „Gdyby kiedyś rzeczywiście powstały Wielkie Czechy

i Wielka Polska od morza do morza, to napadłyby one na siebie nawzajem, ażeby w wielkiej wojnie walczyć tak długo o pierwszeństwo, aż z obu lwów pozostałyby tylko ogony.” W ogóle dobrze byłoby, aby czescy politycy zapoznali się dokładnie z artykułem Dehna. Rozpatrując np. zagadnienie panslawizmu stwierdza autor, że jedynie Czesi i Polacy są „deutschfeindlich” zarówno z uczucia, jak z interesu. Zdanie to przetłumaczone z języka propagandowego na język zwyczajny, znaczy, że jedynie Czesi i Polacy są bezpośrednio, stale i zawsze narażeni na nacisk niemiecki.

Zarówno mapka z roku 1938, jak artykuł Dehna, jak też przede wszystkim obecna akcja czeska, zarówno w dziedzinie propagandy, jak też w dziedzinie dyplomacji wskazują na to, że czeskie plany północne należy traktować poważnie. Nie są to tylko manewry dywersyjne obliczone na zatrzymanie przez Czechów polskiego Zaolzia. Plan północny stwarza po stronie czeskiej psychiczne podłoże do długiego konfliktu, toczonego w sąsiedztwie Niemiec, konfliktu który może się dla Czech i dla Polski tak zakończyć, jak konflikt o Zaolzie. Myślę, że przecie nie potrzeba dziś po ostatniej niewoli niemieckiej udowadniać ani Polakom, ani Czechom, że oba kraje mają najwyższy w tym interes, aby stosunki polsko-czeskie ułożyły się jeśli nie przyjaźnie to przynajmniej poprawnie. Oba narody skazane są prosto na współpracę polityczną w dziedzinie obrony przed niemieckim niebezpieczeństwem, które wcale nie przestało istnieć. Czesi jako ludzie realni nie mogą przecież mieć złudzeń co do tego, że polsko-czeskie stosunki będą dobre, o ileby Czesi ustawili się w obozie tych sił, które chciałyby podważyć polską granicę na Odrze i Nysie. Granica ta bowiem jest politycznym wyznaniem wiary całego narodu polskiego.

POSTACIE ŚLĄSKIE

Biskup Nankier / *Andrzej Jochelson*

Jedną z czołowych postaci dziejów Śląska, a najwybitniejszą postacią w okresie, gdy Śląsk traciła Polska — jest biskup wrocławski, Nankier.

Urodził się około 1270 roku (dokładna data urodzin nie jest znana) jako syn rycerza Inmirama (Emmerama) z rodu Koldów (Kolda) herbu Oksza, używającego przydomku Brodacic. Urodził się we wsi Kamień nad Brynicą w pobliżu Piekar, w powiecie chorzowskim na Górnym Śląsku (granica powiatu chorzowskiego i będzińskiego, w owym czasie księstwa bytomskiego i siewierskiego). Od zarania zdecydowany był wstąpić na drogę duchowną, w przeciwieństwie do swego brata Pakosława, który obrał drogę kariery świeckiej i był potem sędzią na dworze księcia opolskiego.

Mimo starofrankońskiego imienia tak jego ojca, jak i jego samego (nb. imię Nanker-dzielny) był czystej krwi Polakiem i szczerze czującym patriotą.

Pierwszą wzmiankę o nim odnajdujemy w aktach procesu biskupa Muskaty w 1304 r., gdy świadczy jako kanonik kapituły przeciw temu pionierowi niemczyzny w Krakowie. Prawdopodobnie tego samego roku młodociany kanonik kapituły udaje się na studia do Bolonii. Tam w 1306 r. występuje w roli mediatora między studentami — Niemcami a studentami — Polakami, oczywiście z ramienia Polaków. Jeszcze przed studiami musiał się zetknąć osobiście z Łokietkiem, skoro w 1308 roku po powrocie ze studiów z Bolonii występuje jako sekretarz króla. W 1311 roku Łokietek przeprowadza głosami polskich kanoników kapituły nominację Nankiera na administratora dóbr biskupich wobec wygnania Muskaty, w r. 1316 Łokietek obdarza go kanclerstwem sieradzkim i odtąd często widzi się akta państwowe, sporządzone przez Nankiera (prócz niego był uprawniony do tego Franciszek Krakowczyk, kanclerz krakowski). W r. 1319 znów na życzenie Łokietka zostaje Nankier dziekanem kapituły krakowskiej, w rok potem zaś po śmierci Muskaty biskupem krakowskim. Króla i biskupa wiążą najlepsze stosunki; obaj dążą do scalenia wszystkich ziem polskich w jedność i do możliwie najsprawiedliwszych stosunków społecznych. Zdrażnienie spowodowało z jednej strony poduszczenia przeciw biskupowi szlachty, która w jego postaci obawiała się, że będzie wywierał na króla wpływ w kierunku demokratyzacji społeczeństwa, z drugiej strony podatek koładowy, wprowadzający w myśl zasad tomizmu progresywne stawki zależnie od stanu majątkowego płatników, który godził poważnie w dochody szlachty. Gdy doszedł spór o „wymiar sprawiedliwości”, jak podaje Długosz, nastąpiła kłótnia w 1326 r. między królem i biskupem, która zakończyła się spoliczkowaniem biskupa przez porywczego króla. Spoliczkowany biskup musiał ustąpić.

Korzystając ze swych wpływów w Awinionie, król Łokietek uzyskał przeniesienie biskupa Nankiera do Wrocławia. Wrocławskie społeczeństwo

przeżywało właśnie spór o świętopietrze. Niemiecka część społeczeństwa, (a więc niemieckie: kler, rycerstwo i mieszczaństwo) odmówiła płacenia świętopietrza, twierdząc, że oni jako Niemcy, innym daninom, aniżeli tym, jakie w Rzeszy płacili, nie podlegają. Dobro państwa i narodu polskiego wymagało, aby zmusić ich do uznania, że podlegają polskim prawom podatkowym, jako, że są na polskich ziemiach. Zbiegało się to z interesem kościoła. Stąd stanowisko Nankiera było łatwe do przewidzenia: udało mu się zmusić Niemców do uznania, że w zasadzie zobowiązani są do świętopietrza, a wzamian za to uznanie uzyskał w Stolicy Apostolskiej ulgi płatnicze.

Tymczasem wódz wojującej niemczyzny, król czeski, Jan Luxemburg wkroczył na Śląsk i rozpoczął akcję zmuszania poszczególnych książąt do uznawania się lennikami korony czeskiej. W wyniku oporu niektórych książąt — Piastowiczów, zawarł Jan Luxemburg sojusz z Zakonem Krzyżackim i wspólnie uderzyli w 1331 r. na Polskę. Nankier razem z Bolkiem Świdnickim stają w obozie walczącym przeciw najeźdźcy. Bolkowi Świdnickiemu udaje się tak znakomicie opóźnić pochód króla Jana, że dopiero dociera on do Wrocławia, gdy Łokietek już wyparł wojska krzyżackie z kaliskiego, a wkrótce potem dochodzi do zniszczenia wojsk krzyżackich pod Płowcami, co skłania króla Jana do odmarszu ze Śląska. Śmierć Władysława Łokietka, stale walczącego o połączenie Śląska z Polską, zmieniła zasadniczo politykę zagraniczną Polski. Następcą Kazimierz Wielki, w umowie trenczyńskiej z 1335 r., ratyfikowanej 9. II. 1339 r. w Warszawie, zrzeka się Śląska. Na tej zasadzie król Jan żąda od Nankiera wydania ważnej twierdzy, Milicza. Gdy Nankier odmawia, bierze ją siłą i podstępem. Nankier w sierpniu 1339 r. rzuca klątwę na króla Jana oraz na wspomagających go Niemców. Niemcy w odpowiedzi na to wypędzają 5 proboszczów — Polaków z Wrocławia. Nankier powołuje inkwizytora, dominikanina Jana Swenkinfelda, żarliwego patriotę — Polaka, który wprowadzonych Niemców — proboszczów usiłuje uwięzić, a nawet jednego udaje mu się ująć. Zdaje się, że Nankier i Swenkinfeld budują swą siłę na polskich warstwach ludowych. Napięcie wzrasta. W królewskim gabinecie zapada decyzja usunięcia Nankiera i Swenkinfelda za wszelką cenę. W pierwszy dzień Wielkanocy 1341 r. (8 kwietnia) Nankier umiera otruty w Nysie Biskupiej, stolicy księstwa biskupiego, a we wrześniu zbiry porywają Swenkinfelda do Pragi i tam go mordują.

Z charakterystycznych zarządzeń Nankiera warto wymienić przepis z 1331 r. zakazujący nadawania beneficjów kościelnych osobom, nie pochodzącym z prowincji polskiej, a stanowisk nauczycieli ludzior, nie władającym językiem polskim.

Taką jest sylwetka wielkiego biskupa.

Biskup ten, należąc do najciekawszych postaci historii polskiej, jest zarazem postacią o najbardziej skromnej bibliografii. Ośmiostronicowa praca ks.

Fijałka o okresie życia Nankiera przed opuszczeniem Krakowa, dwie czy trzy stronicie w dziele Płaśnika „Denar św. Piotra”, nadto rozdziały o nim w „Dziejach Politycznych Śląska” Dąbrowskiego i w „Dziejach Kościoła na Śląsku” Silnickiego (w I i II tomie zbiorowego wydania „Dzieje Śląska”) — oto całość polskiej literatury o Nankierze. Niemcy mają jedną przestarzałą monografię (Grünhagena „König Johann und Bischof Nanker”) i parę wzmianek tu i ówdzie rozrzuconych. A przecie Silnicki nazywa go „postacią niecodziennej miary, prawie tragiczną”, Dąbrowski zaś tak określa skutki jego śmierci: „wraz bowiem z zwłokami tego porywczego i niezręcznego w swych posunięciach politycznych biskupa, reprezentującego wszakże niezłomnie zasady niezależności i polskości kościoła na Śląsku pogrzebany został w katedrze wrocławskiej duch oporu przeciw politycznym celom króla czeskiego, dominujący dotąd nad wrocławską stolicą biskupią”. Pogląd znakomitego naszego uczonego w lapidarnych słowach ujmując istotę polityki biskupa Nankiera: walka o niezależność i polskość kościoła na Śląsku; walka niezłomna i bezkompromisowa, stąd uznana przez Dąbrowskiego za szereg niezręcznych posunięć politycznych, walka zakończona męczeństwem, bo otruciem wedle Długosza i tradycji ustnej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, tradycji, która była źródłem siedemnasto i ośmnastowiecznych życiorysów świętobliwego Nankiera i napisu na marmurowej tablicy epitafium w prawym filarze przy wejściu do katedry wrocławskiej. Nie sądzę, ażeby ta bezkompromisowość, tak dla polskiego charakteru właściwa, była w jego warunkach niezręcznością. Sądzę, że czytelnik dojdzie też do tego przeświadczenia po rozpatrzeniu całokształtu sytuacji, w jakiej w walce z niemieczyzną Nankier się znalazł.

Ważniejsze jest w opinii prof. Dąbrowskiego zdanie, że Nankier walczył o polskość kościoła. Istotnie, walczył, w pełnym, niemal dosłownym, znaczeniu tego wyrazu. Walczył środkami, którymi dysponował: zakazami, aby do beneficjów duszpasterskich nie dopuszczać innych, aniżeli Polaków, perswazjami i kazaniami do ludności, klątwą, ekskomuniką i interdyktem, nawet inkwizycją. Walczył niemal, jak żołnierz i stąd niemal żołnierską śmierć poniósł. Walczył o polskość kościoła na Śląsku i o polskie rządy na Śląsku i to jako pierwszy w naszej historii uświadomiony patriota.

B. G. Shaw w prześlicznym prologu do „Św. Joanny d'Arc” wykazuje, że była ona pierwszą na świecie nacjonalistką, oczywiście w szlachetnym tego słowa znaczeniu. Jego zdaniem wszyscy wodzowie, królowie, biskupi i politycy średniowiecza walczyli, pomijawszy tych, co walczyli jedynie dla zdobycia łupów, albo jako monarchowie o interes swój własny, albo jako poddani monarchy w jego obronie. Różnic narodowościowych, zdaniem Shaw'a, średniowiecze nie znało. Francuz, poddany króla niemieckiego walczył pod sztandarami swego króla, i odwrotnie Niemiec, poddany króla Francji walczył pod jego znakiem. Dla człowieka średniowiecza naród nie był konkretem. Konkretem

o który gotów był walczyć, był jego monarcha. Stąd słusznie postępek Joanny d'Arc, podnoszącej bunt przeciw prawowitemu francuskiemu monarche, aczkolwiek Anglikowi, w tym celu, aby Francuza na tron Francji wprowadzić, został oceniony współcześnie jako przestępstwo, zagrożone najsurowszymi karami, a w oczach B. G. Shaw'a jako najpierwszy objaw uświadomionego patriotyzmu.

W środkowej Europie inaczej rzecz się miała aniżeli na zachodzie Europy. Tutaj wśród słowiańskiej ludności głęboko tkwiło przeświadczenie krzywd doznanych od napierającej niemieczyzny, tutaj niejako z mlekiem matki ssano nienawiść do niebezpiecznego sąsiada z Zachodu. Mimo to i tutaj, acz rzadko, zdarzały się wypadki lojalnej i wiernej służby rycerzy słowiańskich władcom teutońskim. Jak Joanna d'Arc na zachodzie, tak biskup Nankier w naszych dziejach był pierwszym wyrazicielem idei walki w obronie narodu polskiego i jego praw, nie zaś w obronie praw króla polskiego. Do czasu rezygnacji Kazimierza Wielkiego ze Śląska, Nankier w walce z niemieckim obozem znajdował oparcie, jeżeli nie fizyczne, to w każdym razie moralne w królu polskim. Po 9 lutym 1339 r. sytuacja Nankiera, dotąd trudna, stała się w dosłownym znaczeniu beznadziejna. Oczy władcy Polski spoczęły na Rusi: w 1340 r. wkraczają wojska jego do Lwowa, stolicy Czerwonej Rusi, rozpoczynając nową erę: erę parcia polskiego państwa i polskiego żywiołu na wschód, parcia, które zagubiło zdrową ideę państwową i spowodowało utratę niepotrzebną wielkiej ilości energii narodowej. Jakież tragicznej wymowy nabiera postać opuszczonego bojownika Polski zachodniej, Nankiera, padającego w tym boju śmiercią męczeńską w tym samym czasie, gdy Polska upajała się zwycięskim marszem na Ruś. Nie mógł więc Nankier walczyć w imieniu i dla króla polskiego, bo ten się go odrzekł. Może dlatego tak wyraźnie zaakcentował, że walczy o dobro Polski jako narodu i państwa, nie o dobro króla Kazimierza. Jest pierwszym w historii środkowej Europy bojownikiem o prawa narodu i państwa, nie łączącym ich z osobą dynasty, zatem jest pierwszym na tym terenie uświadomionym patriotą, o sto lat wcześniejszym od Joanny d'Arc. Ten aspekt czyni postać Nankiera fascynująco ciekawą, aktualną i nam bliską.

W czasie, gdy w klasztorze św. Jakuba rzucił Nankier ekskomunikę na króla Jana, obecni przy tym mieszczanie i rycerze niemieccy usiłowali skłonić Nankiera do cofnięcia ekskomuniki „in dominum nostrum regem”.

Odpowiadając użył Nankier wyrażenia „vester rex” podkreślając, że nie uznaje władztwa Jana nad Śląskiem. A że Kazimierz wówczas też już nie rozciągał swej władzy na Śląsk, ciekawego nabiera zabarwienia pogląd polityczny Nankiera: nie godzi się na władzę króla Jana, godzi się, aby nie władał król Kazimierz, ale żąda, aby Śląsk był polski, aby we formie niejako republiki stanowej pod jego przewodem trwał i czekał, aż go królestwo polskie spowrotem na łono swe przyjmie. Można rzec: biskup-rewolucjonista, ba nawet anarchista, lecz

anarchista w obronie najwyższych ideałów: praw autochtonicznego, stanowiącego wówczas większość żywiołu polskiego na Śląsku i praw jedności ziem polskich w państwie polskim. A że był to ostatni rzecznik na tym terenie, stąd historyczna waga jego osobistości.

Sylweta biskupa Nankiera nie byłaby zupełną, gdyby ją ograniczyło się do okresu wrocławskiego. Przybył do Wrocławia, jako biskup, zmuszony opuścić Kraków, albowiem został spoliczkowany przez króla. Policzek ten stanowi wydarzenie niepośledniej wagi: podobnie jak ekskomunika króla Jana i w wyniku jej poniesiona męczeńska śmierć stanowią szczytowy punkt działalności Nankiera w obronie praw Polski na Śląsku, tak też policzek wymierzony przez króla Władysława zdaje się być szczytowym punktem działalności jego w obronie maluczkich przeciw możnym. Nankier, chociaż pochodził z możnego rodu rycerskiego, jednak zawsze znany był ze swego umiłowania ubogich i chorych. Tysiące legend, przedstawiających go w tym charakterze: dobroczyńcy ubogich i uzdrowiciela, a nawet cudotwórcy chorych, przechowane w życiorysach jego, są tego dowodem.

Z królem Władysławem Łokietkiem żył blisko. Jako długoletni towarzysz króla miał na dworze wyjątkową pozycję. Zdawałoby się, że tych dwóch ludzi od blisko 20 lat wspólnie pracujących (1308 pierwszy dokumentarny ślad współpracy, 1326 policzek) nic nie potrafi poróżnić. Znalazł się jednak czynnik, któremu się to udało — zamożne rycerstwo. Łokietek, osiągnawszy swe cele w dużej mierze dzięki poparciu szlachty, lubił szlachcie, popierał

i cenił jej zdanie. Nankier był zapaleńcem idei sprawiedliwości społecznej. Dążył do realizacji tej idei na każdym polu swej działalności. Nie obce mu były wywody o niemoralności nadmiernego dochodu św. Tomasza z Akwinu, co wyraziło się w reformie daniny kołędowej. Jak na wstępie podałem danina ta spowodowała silne oburzenie szlachty i to zdaniem Silnickiego spowodowało zajęcie z królem. Nie bardzo mi się osobiście wydaje przekonujące oburzenie króla tak mocne, że posunął się do spoliczkowania biskupa jedynie z powodu odmowy zmiany statutu co do podatku kołędowego. Klótni tej zgodnie z Długoszem powodem musiało być to, że Nankier uporczywie i mężnie walczył o wymiar sprawiedliwości. Prawdopodobnie chodziło o wymiar sprawiedliwości w instancji odwoławczej w sprawach między chłopstwem a szlachtą. Faktem jest, że za panowania Łokietka i Kazimierza Wielkiego zanika zwyczaj apelowania chłopów od wyroku dziedziców. Tej sprawy dotąd żaden z historyków nie badał. Hipoteza moja oparta na dwóch słowach Długosza i na intuicji wydaje się być zbyt śmiałą. A przecie jest rzeczą zupełnie prawdopodobną, że do ostrej kontrowersji doszło między królem i kanclerzem wówczas, gdy król zażądał od kanclerza napisania wyroku, a kanclerz odmówił, uważając wyrok za niesprawiedliwy. Poglądy socjalne Nankiera, obrona warstw socjalnie upośledzonych wobec warstw wyższych, szukanie dróg do społecznej sprawiedliwości przez to mistyczne wyrównywanie dochodów poborem progresywnych podatków — czynią znowu Nankiera bardzo bliskim naszym czasów.

Dzień 8 maja 1946 r.

Dnia 8 maja — niemal w pierwszą rocznicę powrotu Dolnego Śląska na łono polskości — obchodził dzień swego Imienia mgr. Stanisław Piaskowski, wojewoda dolnośląski. Wyznaczony jako pełnomocnik Rządu na okręg administracyjny Dolnego Śląska na posiedzeniu Rady Ministrów w dniu 14 marca 1945, rozpoczął natychmiast organizację swego aparatu administracyjnego, wyjeżdżając w międzyczasie na Śląsk, by „osobiście poznać kraj, zorientować się w wielkości zniszczeń wojennych” i w panujących stosunkach. Dzięki życzliwości dowództwa II Ukraińskiego Frontu szybko zbadał mgr. S. Piaskowski warunki miejscowe i poczynawszy od 20 kwietnia rozpoczął mozolną, pionierską, w najlepszym tego słowa znaczeniu, pracę w wyznaczonym sobie okręgu.

Najpierw siedzibą wojewody była Trzebnica, następnie Legnica, wreszcie Wrocław. Praca Pełnomocnika i jego urzędników była niezwykle ciężka i ofiarna. Trwała dnie i noce — a urzędowych godzin bywało nieraz na dobę 24! Musiano przezwyciężać trudności transportowe, aprowizacyjne, organizacyjne, finansowe...

„Urzednicy nieraz głodni i niewyspani rozpoczynali pracę od zamiatania lokali biuro-

wych ... Wiele grup ruszało pieszo z bochenkiem chleba na paru ludzi, paczką odezów, godłem państwowym, sztandarem i portretami kierowników Państwa na objęcie przydzielonych im powiatów. Mimo tych trudności szereg grup przybywało na wyznaczone im tereny w 2—3 dni po wkroczeniu Czerwonej Armii.” Wszystkie trudności zostały jednak przezwyciężone.

Na dzień rocznicowy zdobycia Wrocławia mógł stanąć wojewoda Piaskowski wobec społeczeństwa z poważnymi osiągnięciami roku swej pracy.

Przed wszystkim — Śląsk Dolny stał się ziemią naprawdę polską: mieszka w nim ponad milion Polaków, a nowe pół miliona narasta w szybkim tempie. Następnie naprawiono uszkodzenia nawierzchni drogowej, powstałe na skutek działań wojennych na przestrzeni 1600 km; odbudowano 310 m.b. mostów stałych i tymczasowych i wyremontowano 4330 m.b. mostów uszkodzonych. Oczyszczono koryto rzeki Odry i ważniejszych jej dopływów. Założono 85 zakładów wychowawczych dla dzieci (4165 dzieci) 126 zakładów dla dorosłych (3366 podopiecznych). Połowa ludności



na Dolnym Śląsku korzysta z pomocy Opieki Społecznej.

Zorganizowano samorząd gminny. Powstało 287 gmin zbiorowych, 100 miast niewydzielonych i 2867 gromad. W przemyśle uruchomiono 7 kopalń węgla kamiennego, 4 koksownie, 1 brykietownię, 1 wytwórnię łupku. Miesięczna produkcja gazu wynosi 25 milionów m. sześć., smoły 1900 t., benzolu 700 t. Węgiel brunatny wydobywany jest w 2 kopalniach, gdyż spowodu zatopienia kopalń przez Niemców ten dział przemysłu jest dopiero w trakcie odbudowy. Przemysł włókienniczy zatrudnia na Śląsku Dolnym 33 tys. ludzi.

Do końca kwietnia b. r. okręg administracyjny Dolnośląski uzyskał 107,7% wymiaru ziarna i 142% wymiaru ziemniaków. Około 100 milionów złotych uzyskano na akcję odbudowy. Na terenie Śląska Dolnego są dwa teatry, orkiestra symfoniczna, opera, 46 kin, są wyższe uczelnie, ponad tysiąc szkół etc.

To też łącząc się z ogółem Polaków Dolnego Śląska w serdecznych życzeniach Imieninowych dla swego Wojewody, nie możemy w tym miejscu nie podkreślić, iż ogrom dokonanych prac zespala się ściśle z osobą Pełnomocnika Rządu na okręg dolnośląski. Z jego zdumiewającą pracowitością, bystrą orientacją i rzeczowością. Zarówno świat pracy, jak nauka, sztuka i prasa, jak wreszcie każdy, kto chce uczciwie a pożytecznie dla Odrodzonej Rzplitej pracować — znajduje życzliwe poparcie Wojewody, pozbawione jakichkolwiek akcentów jednostronności. I dlatego życzenia dolnoślązan płyną szczerze i serdeczne, a w umyśle szerokich rzesz ludności miejscowej święto Imienin Wojewody łączy się z dniem odzyskania Dolnego Śląska w jedną radosną rzeczywistość.

Ad multos annos, Obywatelu Wojewodo!

Redakcja



Wrocław

Towarzystwa naukowe i artystyczne we Wrocławiu. Chociaż zaledwie rok minął od powrotu polskości na ziemię śląskie, Wrocław może się dziś poszczycić znaczną ilością zrzeszeń kulturalnych. Przede wszystkim wymienić należy Towarzystwo Naukowe Wrocławskie, którego zebranie konstituujące odbyło się 7 marca b. r., a obecnie, podczas Dni Kultury Polskiej we Wrocławiu, nastąpi uroczyste otwarcie. Prezesem T-wa Naukowego Wrocławskiego został rektor Stanisław Kulczyński, vice-prezesem prof. Stefko, skarbnikiem prof. Styś. T-wo N. Wr. dzieli się na 6 wydziałów: 1. Filologiczny, 2. Nauk prawno-społecznych, 3. Historyczno-filozoficzny, 4. Matematyczno-przyrodniczy, 5. Nauk lekarskich i 6. Nauk technicznych.

Prócz T-wa Naukowego Wrocławskiego istnieją nadto we Wrocławiu Tow. Archeologiczne — prezes prof. Jerzy Kowalski; Tow. Miłośników Historii — prezes prof. K. Malczyński; Koło Miłośników Literatury i jęz. polskiego — prezes p. Anna Kowalska; T-wo Literackie im. A. Mickiewicza — prezes prof. S. Kolbuszewski; Polskie Tow. Przyrodników im. Kopernika — prezes prof. J. Czyżewski; Polskie Tow. Matematyczne — prezes prof. H. Steinhilber; Polskie Tow. Botaniczne — prezes prof. S. Tołpa; Polskie Tow. Zoologiczne — prezes prof. G. Poluszyński. Nadto T-wo Miłośników Muzyki pod patronatem Wojewody mgr. S. Piaskowskiego.

Kurs Słowiańszczyzny we Wrocławiu. Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Wrocławskiego w porozumieniu z Kuratorium O. S. Wrocławskiego na jesieni r. b. ma zamiar uruchomić 3 miesięczny Kurs Słowiańszczyzny przeznaczony w pierwszym rzędzie dla nauczycieli. W programie Kursu przewidziane są nast. przedmioty: Historia Słowiańszczyzny, Geografia Słowian, Języki słowiańskie, Literatura Słowian, Etnografia, Kultura i sztuka Słowian, Zagadnienia gospodarcze Słowiańszczyzny. Na czele kursu mają stanąć profesorowie: S. Kuczyński i S. Rospond.

Kurs informacyjny o Śląsku Dolnym. W dniach 13—18 maja b. r. odbył się we Wrocławiu Kurs informacyjny „Oblicze Ziemi Odzyskanych — Dolny Śląsk” dla pracowników oświatowych. Kurs został zorganizowany z inicjatywy Biura Ziemi Odzyskanych w Ministerstwie Oświaty przy programowej współpracy „Książnicy — Atlas”, oraz techniczno-organizacyjnej Kuratorium O. S. Wrocławskiego. Poziom Kursu był bardzo wysoki, co należy zawdzięczać zespołowi prelegentów złożonemu w dużej części z profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego i Jagiellońskiego. Prócz korzystania z wykładów uczestnicy Kursu odbyli szereg wycieczek i brali udział w ciekawych dyskusjach. Przedstawiciele władz szkolnych zwrócili się do redakcji „Oblicza Ziemi Odzyskanych” o powtórzenie kursu dla drugiej grupy pracowników oświatowych w czerwcu r. b. Biuro Ziemi Odzyskanych postanowiło zrealizować, jako drugi cykl kursu — nowy metodyczny w Szklarskiej Porębie, który ma dać uczestnikom szeroki wgląd w potrzeby i zadania nauki polskiej o Dolnym Śląsku.

Prelekcje wygłoszone w dn. 13—18 maja zostaną wydane przez „Książnicę — Atlas” jako broszury zaopatrzone w wykresy, mapki i materiał ilustracyjny. Całość broszur stworzy książkę ok. 60 arkuszy druku poświęconą zagadnieniom D. Śląska.

Opera Dolnośląska we Wrocławiu

Jako jeden z punktów uroczystości związanych ze Zjazdem Kultury we Wrocławiu przewidziane jest wystawienie „Verbum Nobile” Moniuszki oraz baletu Zygmunta Wierciaka — juniora „Z Krakowiakiem do Wrocławia” (Libretto Stanisława Drabika i Jana Fabiana).

Wspomniany występ Opery Dolnośląskiej nasuwa konieczność opisu w kilku słowach organizacji tej pla-

cówki artystycznej we Wrocławiu. Dyrektor Stanisław Drabik w lipcu przybył już na Śląsk Dolny i rozpoczął organizację opery, zamierzając utworzyć we Wrocławiu stałą placówkę wokalnie-muzyczną. Pierwsze przedstawienie, „Halka”, odbyło się 8-go września 1945 r. Jako drugie poszedł „Cyrylik Sewilski” z Ewą Bandrowską, jako trzecie — „Rigoletto”, powtórzone z Adą Sari. Opera Wrocławska występowała również w Wałbrzychu i w Jeleniej Górze. Z Jeleniej Góry uzyskała opera kostiumy Opery Berlińskiej, która jeszcze w maju 1945 r. chroniła się w „Hirschbergu”.

Od stycznia b. r. dyrekcja Opery poczęła myśleć o należytych uczczeniu pierwszej rocznicy odzyskania Śląska. Po rozmowach odbytych z wojewodą S. Piaskowskim dyr. Drabik zdecydował się skomponować coś aktualnego i ostatecznie wraz z baletmistram Fabianem napisali libretto do baletu przesiedleńczego p. t. „Z Krakowiakiem do Wrocławia”, zawierającego pięć obrazów bajki wy czarowanej przez mistrza Twardowskiego. Treścią tej bajki, rozpoczynającej się na rynku krakowskim, jest gremialny powrót ludu polskiego z wszystkich zakątków Polski na Ziemię Odzyskaną. Krakowiacy, Górale, Kujawiacy i Górnolązacy wyruszają dla dobra ojczyzny na Ziemię Dolnośląską. Na rynku wrocławskim symboliczny Piast, chłop polski, wita przybyłych — lud polski, który obejmuje straż nad Odrą i ślubuje pozostać tutaj na zawsze.

Muzykę do baletu w ciągu 30-tu dni skomponował i zinstrumentował Zygmunt Wierciak, szatę zewnętrzną baletu przygotowano niezwykle starannie. Sprowadzono oryginalne kostiumy dla krakowiaków z Krakowa, dla górnolązaków z Katowic, góralskie z Zakopanego. Dzięki burmistrzowi Makowiczce i przesowi Bachledzie-Curysowi uzyskano oryginalne kostiumy góralskie od Jedrusia Jedrusiów, a oryginalny pas zbójnicki z Muzeum Zakopiańskiego wypożyczył dyr. Zborowski. W balecie bierze udział wraz z orkiestrą 150 osób — włącznie Polaków wśród nich wybitni soliści baletowi jak Barbara Karczmarewicz — primaballerina Opery Warszawskiej, Krystyna Marynowska, Jan Fabian i inni. Dyrygentura muzyczna Stefana Syrytło.

Pomysł baletu i wykonanie należy uznać za nader udane, a największe uznanie może budzić zapal artystów i zdecydowana wola dyr. Drabika utrzymania opery polskiej na Śląsku bez względu na piętrzące się trudności.

Teatr Miejski we Wrocławiu

Znakomite nazwisko dyrektora Teofila Trzcńskiego zdawało się gwarantować nieprzeciętny poziom i rozwój Teatru Miejskiego we Wrocławiu. Tymczasem, według ogólnej opinii, teatr wrocławski, acz jest teatrem dobrym, nie dał z siebie tego, czego oczekiwano powszechnie. Mało osób jednak zdaje sobie sprawę, jakie są istotne powody tych nieoczekiwanych mniejszych wyników. Należy, bezstronnie przyznać, iż nie są one winą dyr. Trzcńskiego.

Dyr. Trzcńskiego zaproszono do organizacji teatru miejskiego w październiku, gdy już wszystkie inne teatry miały skompletowane zespoły, co utrudniło niezmiernie utworzenie grona aktorów wrocławskich. W listopadzie dyr. Trzcński potrafił jednak zaangażować w Krakowie grono swego zespołu, w którym należy wymienić przede wszystkim Niewiarowicza, Zaklicką, Łodzińskiego, Jędrzejowską i Elsnerównę. Ponadto uzyskał dyr. Trzcński obietnice najwybitniejszych aktorów, iż dorywczo pomogą scenie wrocławskiej. Z powodu powstania Ministerstwa Ziemi Odzyskanych i nieustalenia w należytych terminach rozdziału kompetencji pomiędzy ministerstwami subwencja się opóźniła i teatr wrocławski nie mógł, jak było projektowane, zagrać na otwarcie „Zemsty” z Solskim i Leszczyńskim, ani sprowadzić „Skizy” z Cwiklińską. Oczekując wciąż na obiecaną subwencję, zaangażowani aktorzy odbywali próby w Krakowie i dopiero pomoc finansowa stu tysięcy złotych, jakiej udzielił

Fragment z baletu
z „Krakowiakiem do
Wrocławia”



wojewoda Piaskowski na pierwsze koszty, umożliwiła przyjazd zespołu wrocławskiego do Wrocławia w dniu 12-go grudnia 1945 r. Teatr miał gotowe do wystawienia cztery sztuki i szykował się do rozpoczęcia, gdy grający we wszystkich 4-ch utworach Łódziński dostał zapalenia płuc, przez co uniemożliwił normalny bieg akcji teatralnej. Aby znaleźć wyjście z rozpaczliwej sytuacji i grać coś przez święta, Zaklicka i Niewiarowicz wystąpili w 3-aktowej komedii Niewiarowicza „I co z takim robić?” W międzyczasie szykowano „Śluby Panieńskie”. Fatalizm pierwszego sezonu, prześladowający dyr. Trzcńskiego we Wrocławiu, sprawił, iż w dniu przedstawienia zachorowuje poważnie na płuca Niewiarowicz i gra z 39 stopniami gorączki. Przez dwa tygodnie, do 20-go stycznia, Niewiarowicz poświęca się i gra z gorączką podtrzymywany zastrzykami i mdlejący wprost w przerwach. Na skutek energicznej interwencji lekarza i braku sił musi przerwać i choruje aż po dzień dzisiejszy (przebywa w Zakopanem). Ponieważ zaś miał główne role we wszystkich przygotowanych sztukach, jego choroba niszczy wszelkie plany dyrekcji. Nie mając ani grosza subwencji ze strony Zarządu Miasta, w ciągu 3-ch miesięcy, nie otrzymując zapomóg znikąd, na skutek chorób kolegów, mając zniekształcone wszystkie przygotowania — artyści teatru muszą walczyć wprost o życie. Ze względu na specyficzne warunki wrocławskie grać mogą tylko w soboty i w niedziele, co jeszcze umniejsza ich możliwości zarobkowe, szukają więc sztuk odpowiednich w danej sytuacji i grają „Mysz Kościelną” (nomen omen!), „Moja siostra i ja”. Gaze biorą 12-ma ratami w miesiącu, mieszkają w hotelu, bo nie uzyskali obiecanego im domu aktora, skutkiem czego pozbawieni są i stołówki. W marcu przyjeżdża wiceminister Kruczkowski, który ocenia poziom teatru za równy stołecznemu i daje subwencję państwową, dzięki której teatr zaczyna wychodzić z impasu. Bardzo pomógł również teatrowi wrocławskiemu pobyt Solskiego i jego udział w wystawieniu „Grubych ryb” Bałuckiego. Po chwilowym sukcesie, gdy, teatr szykuje się do wystawienia „Zemsty” zachorowuje aktor, mający grać Papkina (Possart); pech trwa dalej. Wobec wszystkich trudności i mało życzliwego stosunku miasta dla spraw teatru, nie mogąc pogodzić się z narzuconym mu systemem administracji, dyr. Trzcński w marcu zrezygnował ze stanowiska i od nowego sezonu teatr we Wrocławiu ma prowadzić Jerzy Walden — dyrektor teatru w Jeleniej Górze. Rezygnacja dyr. Trzcńskiego wywołała krytyczne uwagi pod adresem Zarządu Miejskiego w prasie dolnośląskiej i wielkopolskiej. Jest to zrozumiałe ponieważ działalność dyr. Trzcńskiego zasługiwała na to, aby oceniać ją nie tylko z pun-

ktu biurokratycznego; z inicjatywy bowiem T. Trzcńskiego napisał L. H. Morstin prolog do uroczystości rocznicowych p. t. „W Nadodrzańskej Puszczy” (rzecz z czasów Henryka IV-go Probusa), a Marian Żurawek z Oławy sztukę w 3-ch aktach p. t. „Biskup Nankier”, która będzie odegrana w czasie Zjazdu Kultury. T. Trzcński przyczynił się również ze szczupłych zasobów swego teatru do zorganizowania wystawy plastyków krakowskich. Wreszcie mimo ustawicznych niepowodzeń utrzymał poziom przedstawień w klasie wysokiej, co stwierdził m. in. wice-minister Kruczkowski i angielska reporterka, Miss Kandwa, która będąc na przedstawieniu „Grubych ryb” ze zdumieniem przyznała, że nie spodziewała się w zrujnowanym mieście na Śląsku być na przedstawieniu o poziomie stołecznym.

Jelenia Góra

Woj. Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze

Wojewódzki Teatr Dolnośląski prowadzony przez Jerzego Waldena z bazą wypadową w Jeleniej Górze, jest pierwszym stałym teatrem na Dolnym Śląsku, powołanym do życia przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a konwencyonowanym przez Zawodowy Związek Artystów Scen Polskich. Jest to dość ważna placówka kulturalna i społeczna na odzyskanych ziemiach zachodnich, zważywszy, że do zadań teatru należy wychowywanie społeczeństwa dolnośląskiego, które w tej chwili znajduje się w stadium tworzenia. Teatr Dolnośląski jest w nieustannych rozjazdach, dając przedstawienia poza Jelenią Górą — w Legnicy, Kamiennej Górze, Wałbrzychu, Szklarskiej Porębie, Chojnastach i w innych miejscowościach. Teatr rozpoczął działalność w październiku r. ub. i do tej chwili wystawił ogółem dzieśnię sztuk. Na otwarciu Teatru dano „Cyrulika Sewilskiego” P. A. Beaumarchais z Janiną Piaskowską w roli Rozyny. Po „Cyruliku Sewilskim” wystawiono w kolejności następujące sztuki — „Nikt mnie nie zna” i „Zemstę” Aleksandra Fredry, „Swierszcza za koininem” Charl. Dickensa, „Lekarza mimo woli” J. B. Moliere, „Moralność Pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej, „Dzień bez kłamstwa” G. Montgommery’ego, „Ostrożnie! Świeżo malowane!” René Fauchois, „Sułkowskiego” Stefana Żeromskiego z Władysławem Staszewskim w roli głównej i wreszcie „Pana Damazego” Józefa Bliźnińskiego ze Stanisławem Brylińskim w roli czołowej, który obchodził trzydziestopięciolecie pracy scenicznej. Zespół aktorski liczy 34 osoby, a mianowicie: Maria Altmannówna, Stanisław Bryliński, Danuta Cwynarówna, Kazi-

mierz Dejmek, Stefania Domańska, Wiktoria Felczyńska, Antoni Felczyński, Maria Godlewska, Marian Godlewski, Adam Hanuszkiewicz, Aleksandra Królikowska, Ignacy Machowski, Halina Markiewiczowa, Sławomir Misiurewicz, Michał Mroczko, Maria Nochowicz, Marian Nowicki, Irena Orzecka, Jadwiga Pazio-Halkiewicz, Janina Piaskowska, Jerzy Pietraszkiewicz, Radziśław Peter, Irena Remiszewska, Aniela Rolandowa, Stefan Rybarczyk, Jerzy Sobieraj, Władysław Staszewski, Jerzy Szalawa — Szalacki, Jerzy Szpunar, Stanisław Tubielewicz, Tadeusz Turkiewicz, Jerzy Walden, Stefania Waldenowa, Mieczysław Ziobrowski. Reżyserami Teatru Dolnośląskiego są: Stanisław Bryliński, Marian Godlewski, Władysław Staszewski, Jerzy Walden i Stefania Domańska, jako asystent reżysera. Kierownictwo literackie spoczywa w rękach Edwarda Kozikowskiego, kierownikiem plastyki sceny jest prof. Stanisław Jarocki, kierownikiem muzycznym — Adam Markiewicz i kierownikiem administracyjnym — Irena Grabowiecka.

W Jeleniej Górze czynny jest Klub Literacki, działający od grudnia r. ub. Na czele Klubu Literackiego stoi Zarząd w osobach — Edwarda Kozikowskiego, jako prezesa, Stanisława Kaszyckiego, jako sekretarza, Ireny Grabowieckiej, jako skarbnika i Dr Jerzego Kolankowskiego, jako gospodarza. Klub Literacki rozwija dość ożywioną działalność w zakresie akcji odczytowej. W maju r. b. odbyły się następujące odczyty i wieczory autorskie w ramach tzw. „sobót literackich”: „Alchemia XX wieku” Dra Jerzego Kolankowskiego, „Wieczór Autorski Jerzego Andrzejewskiego”, „Pisarze Ślązacy XIX i XX wieku” Wilhelma Szewczyka, „Kynast — gniazdo Piastów” Stanisława Kaszyckiego.

Na terenie Dolnego Śląska powstał Oddział Dolnośląski Związku Zawodowego Literatów Polskich z tymczasową siedzibą w Matejkowicach. Do Zarządu powołano — Wacława Rogowicza, jako prezesa, Edwarda Kozikowskiego, jako wiceprezesa i sekretarza i Ludwika Eminowicza, jako skarbnika. Do Komisji Rewizyjnej weszli: Anna Kowalska, Jerzy Kowalski i Stefania Podhorska-Okołów. Oddział Dolnośląski liczy na razie wraz z kandydatami kilkunastu członków. W najbliż-

szym czasie przewidywane jest przeniesienie się do Jeleniej Góry kilku czołowych pisarzy z Warszawy i Katowic. Oddział Dolnośląski zamierza zorganizować czytelnię pism i bibliotekę, zwoływać stale zebrania dyskusyjne w żywotnych sprawach literackich, rozpocząć współpracę z instytucjami artystycznymi, oświatowymi i kulturalnymi i zapewnić pisarzom zgrupowaniem w Oddziale Dolnośląskim, egzystencję materialną.

Zakończeniu I fazy zabezpieczenia dzieł sztuki na D. Śląsku. Pierwsza faza zabezpieczenia dzieł sztuki na Dolnym Śląsku została ukończona. W związku z powyższym organizator bazy zabezpieczeniowej w Jeleniej Górze, mgr. W. Kieszkowski, zastępca generalnego konserwatora, otrzymał od viceministra L. Kruczkowskiego podziękowanie za przeprowadzenie tej akcji i umieszczenie w centralnych magazynach w Krakowie i w Warszawie wiele ocalonych zabytków. Viceminister L. Kruczkowski wyraził życzenie, aby mgr. W. Kieszkowski służył dalszej akcji zabezpieczeniowej w charakterze doradcy.

Zjazd Związku Zawodowego Historyków Sztuki i Kultury w Jeleniej Górze. W dniach 29—30—31 maja i 1 czerwca r. b. odbył się w Jeleniej Górze, na zamku Paulinum, zjazd Zw. Zaw. Historyków Sztuki i Kultury, połączony z wyborem nowych władz Związku i uchwaleniem statutu. Około 50 delegatów z całej Polski wzięło udział w zjeździe doskonale zorganizowanym dzięki staraniom prof. Wł. Antoniewicza, doc. S. Lorentza i wysiłkom nieustrudzonej zarządzającej Paulinum, p. Hulewiczowej. Oprócz załatwienia spraw związkowych delegaci wysłuchali doskonałych referatów o zabytkach polskich na D. Śląsku, wygłoszonych przez prof. Kostrzewskiego z Poznania, prof. Zachwatowicza oraz mgr. W. Kieszkowskiego z Warszawy. Zjazd i Jelenią Górę uświetniła koncertami muzyki polskiej znakomita skrzypaczka, Irena Dubiska.

W ostatnim dniu zjazdu odbyły się wspólne wycieczki w okolice Jeleniej Góry.



Redaktor naczelny: Stefan Kuczyński. Redaktor literacki: Edward Kozikowski. Doradcze Kolegium Redakcyjne stanowią: Kazimierz Majewski i Ludwik Skurzak. Wydawca: Śląski Zespół Wydawniczy. Redakcja i Administracja: Jelenia Góra, Norwida 9. SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI „CZYTELNIK”, WROCŁAW, ULICA KRUPNICZA 13.

Warunki prenumeraty: Numer pojedynczy zł. 30.—. Prenumerata kwartalna z przesyłką zwykłą zł. 95.—; z przesyłką poleconą — zł. 104.—

Zakłady Graficzne Wojskowego Instytutu Nauk.-Wydawn. Oddział w Jeleniej Górze — F 5012.



